Nr. 2. Lwów, dnia 1. Lutego 1882. Rok V.



PRENUMERATA ROCZNA: 10 marek, 5 złr., 5 rs., 12 frank. | WYCHODZI Z POCZĄTKIEM KAŻDEGO MIESIĄCA. | INSERATY przyjmują się po zwykłej cenie.

WSPOMNIENIA z WYPRAWY MYŚLIWSKIEJ do SYRYI ROKU 1881.

PRZEZ

Leopolda hr. Starzeńskiego.

(Ciąg dalszy).

Dnia 30 Marca. Upał niesłychany, istna kanikuła! — Tylko grubo okręcone zawoje ochraniają nasze głowy od udaru słonecznego. Blisko do południa czekać musieliśmy na łodzie, bo rybacy, łowiący od dni kilku ryby na jeziorze, przez cały ranek swój towar spieniężali i niespieszyli się wcale. To szczęście, że Anglicy stworzyli przysłowie: „Time is money", bo Arabowie niebyliby go stworzyli pewnie. Hulimka, Brzostowski, Toselli i ja wsiedliśmy na łódki. Janowski ze strzelcem Hulimki pozostał w garnizonie przy bagażach, a Masouillet po różne płynne i stałe prowianty wyruszył do Antiochii. Osobliwie tych pierwszych potrzeba bardzo czuć się dawała, bo on sam, mając klucz od olbrzymiej, zamykanej flaszki z winem, która była rozmiarów małej beczki, przekonał się w dwóch dniach, iż wino cudem jakimś wyschło do denka, chociaż nikt z nas nie pił ani kropli Uradziliśmy cichaczem, aby na przyszłość kogoś innego klucznikiem mianować. Blisko cztery godziny w trzech łodziach płynęliśmy pełnem jeziorem. To słynne Antiochijskie jezioro jest prawdziwą skarbnicą dla przyrodnika. Ornitologia była dla mnie od dzieciństwa ulubioną gałęzią historyi naturalnej, a lubo niejestem znawcą, tylko amatorem-entuzyastą tej gałęzi, kocham ją niejako platonicznie, jeśli mi się tak wyrazić wolno. Tu miałem więc sposobność użyć nieznanych mi rozkoszy. To jezioro wydało mi się podobnem do jakiegoś olbrzymiego portu, tysiąc razy piękniejszego niżli wszystkie porty miast naszych. Ręka Stwórcy zaludniła je ptactwem, które w miniaturze daje obraz ruchu w portach kupieckich. Niezliczone stada najrozmaitszych gatunków kaczek, jak łódki rybackie, po nad falą latają. Krzykliwe mewy, jak zastęp komissyonerów i drogmanów, nękają podróżnego wrzeszcząc przeraźliwie. Dalej kormoran, niby szybka fregata, między niemi przemyka, i do lądu od czasu do czasu zawija. Po środku wspaniałe pelikany i śnieżne łabędzie spokojnie kołyszą się na falach, jakby monitory, niezważają wcale na przemykające koło nich drobne statki, ale skoro się zbliży do nich nieprzyjacielska flota (a nasze trzy łodzie były taką flotą), zaraz monitor zrywa kotwicę i na pełny Ocean odpływa. Jezioro Antiochijskie do Oceanu porównanem być może, ma ono bowiem około 27 kilometrów długości, na 18 szerokości, a otoczone jest równą może powierzchnią szuwarów, łąk i bagien. Znajduje się na niem około 40 wysp większych i mniejszych, częścią zamieszkałych przez rybaków, częścią bezludnych. Wylądowaliśmy na jednej z tych wysp, i rozłożyliśmy namiot,

który nam przywiózł p. Toselli. Tu wypadał nam nocleg ze wszech miar oryginalny. Zauważałem, że flora tutejszego jeziora wcale prawie nie różni się od flory naszych stawów. Te same żółte i białe lilije wodne, te same trzciny i szuwary, tylko może nieco wyższe, czego powodem klimatyczna różnica. Jako Robinsony osiadłszy na tej bezludnej wyspie, zaczęliśmy się krzątać około przygotowań do noclegu. Don zawsze czujny, chętny i pracowity, wynalazł trop jakiegoś zwierza, później jamę, i zaczął udawać jamnika. Zwierz jakiś dziwny wymknął z jamy i padł od strzału Brzostowskiego. Zawistnym myśliwym niejestem, ale wyznaję, iż pozazdrościłem mu tej nieznanej zdobyczy. Udałem się pod opiekuńcze skrzydła Dona, i zaklinałem go, by i mnie podobnego wynalazł zwierza. Poczciwy pies znów podążył do jamy, ale w chwili, gdy najbardziej był przejętym swoją rolą jamnika, odskoczył nagle skowycząc, z ogonem w dół i z nosem zakrwawionym. Musieliśmy gwałtowny szturm przypuścić do jamy przy pomocy naszych rybaków, i po chwili wybiegł podobny drugi zwierz, którego czatując nad jamą, zastrzeliłem. Ze zdziwieniem obydwa z Brzostowskim przyglądaliśmy się długo tej nieznanej zwierzynie, a nakoniec przyznawszy się wzajemnie do niewiadomości, postanowiliśmy zaraz zdjąć skóry z tych zwierząt, by je przesłać panu Janowskiemu. Nasi Arabowie wyjaśnili nam wprawdzie, że te zwierzęta w ich języku nazywają się: „Niemce“, i że są bardzo złe. To nas wszakże jeszcze nie oświeciło, bo i my mamy wprawdzie u nas zwierzęta, które się podobnież nazywają, i także nie są bardzo dobre, ale zupełnie inaczej wyglądają. Później dopiero za pośrednictwem pana Janowskiego dowiedzieliśmy się o prawdzie całej. Otóż te dwa przez nas zabite zwierzęta są to: „Ichnajmony“. Zwierz ten zwanym jest także: „Szczur Faraona“. Podobny z kształtów do wydry, tylko innej barwy, bo jest popielaty i ma sierść bardzo ostrą, podobną do szczeciny. Ichnajmon w Egipcie jest zaciętym wrogiem krokodyla, któremu jaja wyjada, uważanym też tam jest za zwierza pożytecznego bardzo. W Syryi krokodyl nieistnieje, a więc ichnajmon żywi się przeważnie jajami wodnego ptactwa, a przedewszystkiem frankolinów, jest więc dla myśliwstwa największym szkodnikiem. Jest zajadłym i odważnym nie do uwierzenia, skaleczony nos Dona był tego dowodem. Gdy załoga nasza wypoczywała, udalimy się we dwóch z Brzostowskim łódkami na spacer na jezioro, i zabiliśmy 4 kury szafirowe, łyskę i dwie czajki z ostrogami. Są one odmiennie ubarwione od naszych, i mają na zgięciu skrzydeł rogowe haczyki podobne do ostrogów. Jeden z najpiękniejszych strzałów, jakie mi się kiedykolwiek widzieć zdarzyło, był na tej wyspie, strzał do ciągnącej mewy, gdzieś bliżej obłokow niż ziemi. Tego artystycznego strzału dokonał Hulimka ze strzelby systemu Lancaster.

Dnia 31 Marca. Wyborny mieliśmy nocleg na naszej wyspie. Dodnia grono naszych Robinsonów wsiadło do czółen, flota wyruszyła w dalszą drogę, bo to dzień cały jeszcze płynąć mamy jeziorem do miejsca, gdzie nam obiecują najciekawsze polowanie. Po drodze strzelano z łódek do pelikanów, łabędzi, do siwych i białych czapli, do karmoranów i innego najrozmaitszego ptactwa, ale że się płynęło ciągle jeszcze czystem zwierciadłem, i rzadko napotykało trzciny, ostrożne ptaki na zbyt wielką porywały się odległość, rezultat tej strzelaniny bardzo więc był nieznaczny. Popas krótki wypadł nam na jakiejś małej wysepce, zkąd udaliśmy się do wyspy drugiej, nieco większej, niemającej nazwy, ale którąby śmiało nazwać można: „wyspą pelikanów“, bo też roje tych olbrzymich białych ptaków okrywały do koła jeziorowe zwierciadło. Od czasu do czasu przeciągały po nad wyspą, wtedy alarm powstawał w naszych szeregach, wszystko co żyło chwytało za broń, Europejczycy i Arabowie na wyścigi sypali gradem śrótu między to ptactwo, które zawsze swoimi twardymi pancerzami odważnie odbijało wszelkie pociski. Jeden tylko pelikan odmiennemu uległ losowi, bo padł trupem ugodzony gdzieś po za pancerz ołowiem któregoś Araba. Dla użytku naszych gastronomów nadmienić muszę, że najbardziej w świecie poszukiwana ryba zwana: „Silure“, zamieszkuje obficie Antiochijskie jeziora. Zapewniają kroniki, że cesarzowie rzymscy, którzy słynęli z gastronomicznych gustów, do uczt swoich tę rybę aż z Antiochii sprowadzali. Tu jest ona tak pospolitą, żeśmy jej mieli zawsze do woli. Niemogę zdać sprawy o jej smaku, gdyż ryba jest mi jedzeniem dość obojętnem, i nieczynię w tem konkurencyi ani wydrze, ani czapli, ale moi koledzy nachwalić się jej niemogli. Podziwiałem zręczność naszych rybaków przy łowieniu ryb. Wiosłując łódką, ma każdy w ręku dość długą lancę zakończoną ostrym bardzo grotem, spostrzegłszy rybę w znacznej nawet głębokości przebija ją szybkim rzutem lancy, i trafia zawsze pod samo skrzelę. Na grot wbitą rybę wyciąga potem z łatwością z wody. Mieliśmy wyborny zaimprowizowany obiad z rozmaitej zwierzyny i z tych ryb tak poszukiwanych, sam Lukullus mógł nam pozazdrościć. Po obiedzie z jedym z rybaków puściłem się łódką na własną rękę na jezioro, i zasiadłem w trzcinach. Bardzo liczne stado pelikanów przeleciało, ale na niemożliwą odległość, para jedna przeciągała bliżej, strzeliłem bez nadziei rezultatu, tak mi się daleko wydawało, a przecież jeden z tych ptaków z wysokości wielkiej runął na fale jeziora. Bardzo komiczny nastąpił tu epizod. Ptak zbarczony płynął uciekając przed nami, a my przeszło sto kroków goniliśmy za nim łodzią. Dognany nareszcie zatrzymał się, i mężny zaczął stawiać opór. Uderzył gwałtownie kilka razy dziobem o łódkę, a gdy chciałem go uchwycić za szyję, otrzymałem w piersi tak silne uderzenie dzioba, iż zaledwo zdołałem utrzymać się na łodzi. Mój towarzysz rybak pospieszył mi w pomoc, i nacierającego dalej na mnie ptaka chciał uchwycić za skrzydło. Ale mężny pelikan zrobił w tej chwili *coup double*. Ten drugi jego strzał jeszcze był skuteczniéjszym od pierwszego, bo biedny rybak podziobany i skrzydłami pobity z łodzi zsunąć się musiał do wody. Tak ten Arab oprócz trzech przepisanych mu przez Alkoran codziennych abluicyi dziś odbyć musiał mimowoli jeszcze czwartą. Trzeba było stanowczo już zakończyć tę walkę, tak nieświetną dla nas, a świetną dla bohaterskiego pelikana, skoro więc Arab przy pomocy mojej na powrót się dostał do łodzi, kazałem się zatrzymać, a uchodzącego wspaniałego ptaka wypuściwszy na kroków kilkadziesiąt, nikczemnie jakby bandyta włoski z tyłu drugim strzałem dobiłem. Była to jedyna walka, jaką stoczyć byłem zmuszony w ciągu całej mojej Syryjskiej wyprawy. Ten pelikan, bardzo stary samiec, jest okazem niezwykłej piękności i wielkości, niemal łódź całą zajmował. Wcale nie jest podobnym do owych pelikanów, które w Europie widywałem. Śnieżno-biały, szyja i piersi różowe, dziób w pręgi i obwódki błękitne i czerwone, oczy karminowe, a pod szyją i dziobem torba tak wielka, iżby pomieścić mogła, na drobne zmienioną, całą przeszłoroczną intratę niejednego szlachcica w Galicyi. Zabiliśmy więc dwa pelikany, kulona, dwie kury szafirowe i czajkę.

Dnia 1 Kwietnia. Przekonawszy się, że nasze zapasy już są w opłakanym stanie, wysłaliśmy łódź jedną za prowiantem na stały ląd, i wszystkie ciekawsze okazy polowania naszego, które p. Janowski miał nam do wypchania przyrzą-

dzić. Sami puściliśmy się w dalszą drogę i godzinami miałem sposobność przypatrywania się nowemu rodzajowi sportu, wykonywanemu przez liczne stada pelikanów. Rybołowstwo bowiem zaliczone jest u nas do sportu, a przeważnie Anglicy wykonują go z zamiłowaniem, i rzec można, iż go już do artyzmu doprowadzili. Widywałem nieraz na okrętach takich synów Albionu, którzy nieruchomi, jakby kariatydy, z wędką w ręku, stali wsparci o poręcze pokładu, i dnie całe tak spędzali, bawiąc się wyśmienicie. Sport rybacki, wykonywany przez pelikany, bardziej mi trafia do przekonania. Z daleka przypatrywałem się temu przez binokle z nadzwyczajnem zajęciem. Pelikany we dwóch zwykle te łowy odbywają, jeden czatuje nieruchomo, a drugi ze znacznej odległości, bijąc skrzydłami po wodzie, ryby na niego napędza, przeważnie na miejsce dość płytkie. Przyczajony na swem stanowisku pelikan chwyta podpływającą pod niego zdobycz, poczem towarzysz, który mu służył za pogonkę, szybko przypada i żąda podziału. Bez gniewu i zajść osobistych tu się już nigdy obejść niemoże, lecą gęste razy zadawane dziobem i skrzydłami, ale nareszcie dział się uskutecznia, poczem zmieniają się role, myśliwy idzie na pogonkę, a ten, który był pogonką staje się myśliwcem. Z takiej to chwili skorzystać powinien strzelec, by podjechać te zazwyczaj tak ostrożne ptaki. Wielką popełniłem niedorzeczność w tej ostatniej wyprawie, oto nie sądziłem, ażeby sztuciec express mógł nie być potrzebnym na jeziorze, i zostawiłem go w Antiochii. Byłem więc zmuszony śrótem strzelać do pelikanów i kaleczyć tylko te szlachetne ptaki. Trudno sobie wyobrazić piękniejszego polowania, jak sztuczny i umiejętny podjazd pelikanów i łabędzi na jeziorze, i do nich strzał sztućcowy na znaczną odległość. Pojedyncze pelikany zwłaszcza, gdy są zajęte rybołowstwem, z łatwością na odległość 100 do 150 kroków zjechać się dają. Zgromadzone w liczne stada już są zazwyczaj czujniejsze. Z braku sztućca tej przyjemności użyć niemogłem, ale zalecam jak najusilniej ten rodzaj sportu każdemu z myśliwych, którzyby się kiedykolwiek znalazł w położeniu polowania na pelikany. Jest tu ciekawy rodzaj kormoranów, właściwych tylko tej okolicy. Są one czarne, wielkości prawie gęsi, tysiącami gnieżdżą się na jeziorze, ale tak są ostrożne, iż z trudnością największą tylko podjechać się dają, a przeciągają i krążą nadzwyczaj wysoko, nazywają je tu: „Kara-batta“. Nie mniej ciekawym jest też śród niewiedzieć wielu rozmaitych gatunków kaczek jeden nadzwyczaj piękny. Jestto rodzaj krzyżówki, barwy biało-srokatej, a głowa i szyja jest koloru karminowego, jakby głowa szczygła. Tak jednak ostrożne są te kaczki, iż mimo wszelkich starań nieudało nam się ani jednej dostać, ażeby tak ciekawym okazem wzbogacić nasze zbiory. Wprawdzie jedna taka kaczka padła od strzału Hulimki, ale zanim łódź dopłynęła już kaczka była pod wodą. Poszukiwania i nurkowania na nic się nieprzydały. Wprawny nurek potrafi perły i korale wydobyć z dna morskiego, ale niepotrafi pewnie postrzelonej nurkującej kaczki wydobyć z jeziora lub stawu. Lądując na jednej z małych wysep, które były na naszej drodze, Hulimka zabił na *coup double* dwa ichnajmony. Ja zabiłem dziwnego ptaka, należącego do rodzaju „Kara-batta“, ale zupełnie odmiennego od owych, któreśmy dotąd widywali. Jest on wielkości kaczki krzyżówki, czarny, tylko pierś biała, centkowana, szyja niesłychanej długości, zakończona małą główką i drobnym dziobem, nadającym ptakowi podobieństwo do gadziny. Głowa i szyja nie pierzem, ale puchem pokryta, ogon bardzo długi, wachlarzowaty, podobny do ogona bażanta. Później sam Janowski nie umiał nam nazwać tego ptaka i oświadczył, że to rodzaj całkiem mu nieznany. Odesłał go też natychmiast do Muzeum Londyńskiego. Zabiwszy jeszcze po drodze 10 kur szafirowych, 2 czaple, 2 kara-batty, 2 kaczki i 1 ponura, zawinęliśmy na nocleg do większej wyspy, zwanej: „Kasse“, zamieszkałej przez rybaków. Była tu niegdyś kupiecka kolonia Wenecka, i widać tu jeszcze ślady obronnego portu i zwaliska starego zamku. Widok ztąd bardzo piękny na wzgórza, przez które prowadzi przez Rzymian jeszcze zbudowany gościniec, i na tak zwany: „Most żelazny“. Teraz jestto droga, którą wszystkie karawany udają się do Aleppu. Na dziś jakoś obiad nasz poszedł w zapomnienie, bo widząc smutny stan zapasów kuchennych, Brzostowski wcale o nim nie wspomniał, a myśmy także milczeli. Wieczerza prawdopodobnie byłaby jota w jotę podobną do obiadu, gdyby nam w pomoc niebyli przyszli rybacy, ofiarując nam potrawę zwaną: „kubył samak“ (ciasto z ryb). Sam Lukullus na bankietach swoich podobnego przysmaczka niejadał. Może być, że ten kubył samak tylko na wyspie Kasse taką się delikatesą wydaje zwłaszcza w warunkach, w jakich my znajdowaliśmy się w tej chwili, tego niewiem, ale zaręczyć mogę, że jestto jedna z najsmaczniejszych potraw, jakie kiedykolwiek spotkałem. Gastronomom naszym, którzy z kuchennego ogniska ołtarz sobie utworzyli, dla których kuchmistrz jest arcykapłanem i nad wszelkie wiedze przenoszą wiedzę kulinarnego zawodu, śmiałbym polecić, by przez kilkanaście godzin w podobnych warunkach przejechali się po Antiochijskiem jeziorze, a potem na wieczerzę zjedli kubył samak. Zaręczam, iż użyją takiej gastronomicznej rozkoszy, jakiej dać im niezdołają wszystkie najwykwintniejsze kuchnie europejskie.

Dnia 2 Kwietnia. Odbyliśmy wyprawę do Gülparsi, ostatniego krańca Antiochijskiego jeziora. Na hańbę moją opowiedzieć muszę ciekawe zdarzenie, które mnie spotkało. Gdy wsiadać mieliśmy na łódki, jeden z Arabów mi donosi, iż widział siwego sępa, który usiadł na skałę w pobliżu naszego namiotu. Uchwyciłem strzelbę i zakryty odłamami skał podszedłem szczęśliwie ptaka, może na 25 kroków. Wymierzyłem bardzo spokojnie i wystrzeliłem. Któżby wierzył, że ptak zupełnie zdrów odleciał, i piórka nawet nie uronił, a przecież na taką odległość w tak wielki przedmiot i kamieniem trafić niebyłoby sztuki. Stałem długo zdziwiony i pomięszany, niemogąc sobie z tego zdać sprawy, i niemyślałem już o drugim strzale. W uszach dzwonił mi tylko szum skrzydeł chybionego ptaka, i głośne wybuchy śmiechu Arabów i kolegów moich, którzy świadkami byli tej mojej niefortunnej przygody. Wypłynęliśmy na jezioro i dzień cały, błąkaliśmy się po szuwarach i oczeretach, od czasu do czasu lądując dla wypoczynku, na wyspach porozrzucanych. Dla mnie tego rodzaju wyprawa miała jakiś urok niezwykły, ale moich kolegów to nudziło i ciągle na coś narzekali. Na znaczną odległość zabiłem śrótem pelikana, ale o wiele mniejszego, niż pierwszy, zupełnie też inaczej był ubarwiony, niemiał bowiem różowej szyi i piersi, ale był śrebrno-biały. Prócz tego postrzeliłem jeszcze dwa pelikany, które gdzieś daleko upadły w szuwary, a dojechać po nie było rzeczą niemożliwą. Zabiłem też białą czaplę i kilka kur szafirowych. Tylko do rzadkiej i niezwykłej strzelałem zwierzyny, lękając się ciągle, by mi niezabrakło ładunków, a zresztą, jak już mówiłem ciągła strzelanina do zwykłej zwierzyny nie ma dla mnie uroku. Na nocleg powróciliśmy do tej samej wyspy, i przywieźliśmy 1 pelikana, 2 białe czaple, 1 kara-bettę, 2 kaczki, 9 kur szafirowych, 1 kulika, 1 orła, 2 jastrzębie, 3 łyski i mewę.

*

Dnia 3 Kwietnia opuściliśmy naszą wyspę, i popłynęliśmy na oślep środkiem jeziora na powrót, w nadziei, że spotkamy się z łódką do Antiochii wysłaną po niezbędne zapasy. Wedle obliczeń naszych ta łódka dopiero nad wieczorem powrócić mogła. Zasoby nasze zupełnie były wyczerpane, i już niebyło ni chleba, ni wina, ni tytoniu. Wyruszyliśmy jednak odważnie pod znanem naszem polskiem godłem: „Jakoś to będzie“. Szlachcic polski nigdy nie wątpi, i liczy na swoją gwiazdę szczęśliwą, choć ta gwiazda zawsze go zwodzi, on w nią wierzy jednak zawzięcie. Dziś tem bardziej jeszcze utwierdzeni jesteśmy w tej wierze. Naszą gwiazdą szczęśliwą była uprzejmość pani Merelle i zapał naszych wioślarzy rybaków, wysłanych wczoraj. Niepojmuję, jakim cudem już przed południem, spotkaliśmy na pełnem jeziorze naszą flotyllę powracającą z Antiochii z prowiantem, zdolnym wyżywić armię turecką sześćkroć od naszej liczniejszą. A już bardzo źle było z nami, mieliśmy bowiem już tylko ze sobą dwie kaczki wczoraj zabite, mnóstwo skór z ptaków przygotowanych do wypchania, a jako jedyne pożywienie parę arkuszy arabskiego chleba. Jestto rodzaj macy, coś na wzór żydowskiej, a bardzo do zwykłej bibuły z kształtu i ze smaku podobnej. Po przekąsce odbytej na łódkach, po licznych toastach, wzniesionych wybornem francuskiem winem na cześć naszej uprzejmej, choć nieobecnej chlebodawczyni pani Merelle, puściliśmy się w dalszą podróż. Zabiliśmy jeszcze po drodze 1 kaczkę, 2 białe czaple a jedną szarą, 6 kur szafirowych i 1 jastrzębia.

Dnia 4 Kwietnia. Po noclegu odbytym w namiotach na przylądku ciągnącym się klinem w głąb jeziora, popłynęliśmy dalej. Po drodze strzelano ciągle do łabędzi, pelikanów i innego ptactwa. Łódka, która przybyła z prowiantami przywiozła i sztuciec dla Hulimki. Przepływając koło wysepki, która mieć mogła zaledwo morg jeden powierzchni, ruszyliśmy tam w oczeretach dzika. Do najbliższego lądu jest tu najmniej pół mili. Ciekawa rzecz, co ten dziwak mógł na tej wyspie porabiać! Czy to pustelnik znudzony światem i szukający samotności, czy dobrowolny nowy Robinson, bo przecież rozbicie okrętu nie mogło go przypadkowo w takie położenie wprowadzić, w każdym razie był to szczególny jakiś oryginał. Łódkami otoczyliśmy wyspę, i w nich staliśmy na stanowiskach. Było to najoryginalniejsze w swoim rodzaju stanowisko na dzika, ale polując na takiego oryginała oryginalnych trzeba było użyć środków. Zaimprowizowana pogonka przegoniła zarośla, ale niestety zwierz przez nieobsadzone jeszcze stanowisko umknął z wyspy, i w postaci wieloryba gdzieś w dal na jezioro popłynął. Gdy nam się tak niepowiodło polowanie na tego dzika, należącego widocznie do rodzaju amfibii, po dwugodzinnej może podróży ujrzeliśmy w dali na jeziorze nową wyspę, okrytą śniegiem. Długo niemogliśmy sobie zdać sprawy z tego widoku, daremnie też badałem go za pomocą binokli, gdy jeden z rybaków oświadczył, że to jest stado pelikanów. Niechcieliśmy temu oczywiście dać wiary, aż zbliżywszy się jeszcze przekonaliśmy się o prawdzie tego twierdzenia. Widywaliśmy tu nieraz nadzwyczaj liczne stada pelikanów, bywało ich razem po pare set sztuk, ale o tak licznym zastępie niemieliśmy pojęcia. Zrobiliśmy krótką radę wojenną, i postanowiliśmy łódkami o ile możności okrążyć tę białą wyspę, a Hulimka uzbrojony w sztuciec miał walkę rozpoczynać. Zbliżyliśmy się na niespełna 200 kroków, i Hulimka dał ognia dwa razy a nabiwszy powtórnie sztuciec, strzelił jeszcze w zrywającą się ciągle nieprzyjacielską kolumnę. Szum skrzydeł tych zastępów nie do opisania, biała chmura tego ptactwa zaległa widnokrąg. Cyfry nawet w przybliżeniu postawić nieśmiem, boby wyglądać musiała na przesadę. Trzeba było to widzieć własnemi oczyma, aby uwierzyć. Jeden ptak przeszyty kulą leżał na falach jeziora. My wszyscy na rozpaczliwą odległość śrótem niestety ostrzeliwaliśmy bez końca ciągnącą kolumnę, nabijaliśmy nasze odtylcówki i strzelali znowu. Niewiem już, ile strzałów padło, ale wszystko bez skutku. Jeden tylko ptak oderwał się od kolumny i bardzo gdzieś daleko upadł między szuwary. Gdybyśmy byli uzbrojeni w sztućce, byłaby mogła nastąpić istna rzeź niewiniątek. Przez Hulimkę zabity pelikan zupełnie odmienny od tych, któreśmy dotąd zabili, jest o wiele mniejszy, srebrno-biały i bardzo rzadki, jak nam później oświadczył pan Janowski. Zabiliśmy prócz tego brunatną, piękną i bardzo rzadką czaplę, parę czajek i mewę białą.

Nocowaliśmy dnia 5 Kwietnia znowu w wiosce Irligan, w tej samej chacie, w której już dwa odbyliśmy noclegi, i tak zakończywszy nasze łowy na owem jeziorze, którego pamięć na zawsze miłą mi pozostanie, powróciliśmy konno do Antiochii. Synowie naszego gospodarza wyjechali naprzeciw nas, ale na nieszczęście skrzyżowali się z nami śród drogi. Niedaleko bramy Swiętego Pawła, głównego wjazdu do miasta, gdzie pod cieniem platanu olbrzymiego urządzono kawiarnię, w której posililiśmy się kawą, spotkaliśmy pana Mérelle, który ze swym Kawasem wyjechał po nas i zaprosił na śniadanie. Szaty nasze po ostatniej naszej wyprawie w takim były nieładzie i tak poszarpane, iż najbiedniejszy Beduin na puszczy, najbardziej obdarty Derwisz, byłby przy nas jak magnat wyglądał. Smutnymi byliśmy reprezentantami owych ludów, którzy cywilizacyę Zachodu do barbarzyńskiego Wschodu niosą. W strojach naszych pokazywać się w damskiem towarzystwie było rzeczą niepodobną, źle wyglądaliśmy, nawet bardzo między półnagimi Arabami, a przecież wymówki wszelkie na nic się nie przydały, porwano nas siłą, i w pomieszkaniu Państwa Mérelle dopiero mogliśmy nasze szaty przemienić. Potem nastąpiło wesołe śniadanie, które się przeciągnęło aż do wieczora i zakończyło tańcami. Uprzejma pani domu zaprosiła nas na jutro na wiejskie śniadanie, miało się ono odbyć przy sławnej tutejszej „Żelaznej bramie“. Pan Ouard, który tak serdecznie ugościł nas w swoim domu, podczas niebytności naszej zachorował na febrę, która tyfoidalny poczęła przybierać charakter. Kuracya przepisana mu przez tamtejszego lekarza aleopatę, nietylko że cierpienia nieusunęła, ale choroba przeciwnie coraz groźniejsze przybierać poczęła rozmiary i pogorszenie było widoczne. Rodzinę jego całą zastaliśmy bardzo zaniepokojoną i bliską rozpaczy. Od dawna oddaję się nauce Homeopatyi i nabyłem w tem nieco wprawy tak, iż wiem, jakie w niejednym wypadku zadawać należy leki. Zadałem też homeopatyczne lekarstwo pacyentowi, którego w ciągu nocy zaraz silne oblały poty, gorączka ustała, słowem niebezpieczeństwo minęło, febra opuściła go bezpowrotnie, i do dni kilku był zdrów zupełnie. Dnia tego jeszcze byliśmy na wieczerzy u rodziny naszego gospodarza p. Ouard. Umyślnie dla nas sprowadzono kucharza Włocha, podano nam najwykwintniejsze potrawy, na jakie się tylko zdobyć mogli, toastów było bez końca. Poczciwa ta rodzina czyniła co mogła, by nam pobyt uprzyjemnić.

Nazajutrz dnia 6 Kwietnia rano udaliśmy się do państwa Mérelle, gdzie wraz z gospodarzem domu, jego małżonką, milutkiemi jej siostrzenicami i panem Toselli wyruszyliśmy do Żelaznej bramy. Mało się widzi coś tak uroczego, dzikiego, a malowniczego zarazem. Żelazna brama w gruzach, ale nad tymi gruzami ulatują w wyobraźni naszej dzieje Bizantyńskiego Państwa, tak straszne jak ta przyroda, która te gruzy otacza. Tyle wieków składało się na to, ażeby piętno zniszczenia wy-

cisnąć na tej bramie, a jeszcze im się to całkowicie nieudało, jak nieudało się im zatrzeć pamięci unoszących się nad nią dziejów, tylko je utopiły w mgle gęstej, podobnej do mgły owej, która szczyty skał bazaltowych co wieczora tu kąpie i przed okiem widza osłania. Stada orłów i sępów unoszą się dziś po nad wodociągami i gruzami murów dawnej twierdzy. Może to duchy owych orłów wojen Krzyżowych, co tu ponieśli życie, a z których, jako pożytek dla przyszłości, pozostała tylko zapisana w dziejach karta, na ich cześć i wspomnienie. Naszkicowałem sobie na pamiątkę ową Żelazną bramę. Praca to oczywiście nieudolna, ale trudno pracować śród wrażeń tak silnych. Przeszkadzały mi ciągle wspomnienia Tankreda, Gotfryda i innych bohaterów, a bardziej może jeszcze rozmowa i zaglądania ciągłe do mego Albumu naszej miłej gospodyni i jej siostrzenic. Gdy z nieudanym szkicem moim dałem za wygrane, i zamiast zarysów Żelaznej bramy zacząłem już szkicować profil pani Mérelle, uchwalono, by przerwać artystyczne posiedzenie, i udać się do kaplicy Śgo Piotra. Po dość trudnym pochodzie przez góry, gdzie nasza polska kolonia cudów gimnastycznych dokazywała, by piękne nasze Paryżanki bez szwanku przeprowadzić przez strome ubocza i skaliste parowy, dostaliśmy się do owej słynnej kaplicy. Tam to pierwszy apostoł chrześcijaństwa odprawiał nabożeństwo. Widne dotąd wykute w skale miejsce na ołtarz i zakrystyę. Po prawej od ołtarza wytryska źródło, któremu lud tutejszy uzdrawiającą przypisuje władzę, festony rozmaitych pnących roślin fantastycznie są nad niemi zawieszone i kąpią swoje listki. W tej kaplicy wiele widać śladów późniejszej budowy, ale te żadnego wzbudzić nie mogą podziwu. Najciekawszą jest sama grota, wyciosana w skale, ołtarz i to cudowne źródło. Sześć kolumn ciosowych, na których się wspiera sklepienie kaplicy, już są z czasu wojen krzyżowych. Ołtarz z białego marmuru z czasów jeszcze późniejszych, marmurowa czarna nad nim płyta z wspomnieniem papieża Piusa IX., wszystko są to dodatki, które psują wrażenie całości. Czemuż ludzie niezostawili tej groty, tej zakrystyi, tego kamiennego ołtarza i tego źródełka w tym stanie, w jakim je zostawił pierwszy apostoł chrześcijaństwa, pocóż je było nowożytnemi szpecić ozdobami?

(Dalszy ciąg nastąpi).

O potrzebie połączenia leśnictwa z łowiectwem

PRZEZ

Karola Hostońskiego.

W celu dowodnego wykazania, iż każdemu wykształconemu leśnikowi gruntowne wiadomości nie tylko leśnicze, ale też łowieckie niezbędnie są potrzebne, musimy jako wymowny przykład postawić sąsiednie z nami kraje koronne monarchii austryackiej, mianowicie Niższą Austryę, Czechy i Morawiję. Cesarska szkoła leśnicza w Mariabrunn daje nam najświetniejszy dowód, iż wychowańcy owej szkoły muszą się poddawać, po poprzedniej praktyce łowieckiej, ścisłemu teoretycznemu egzaminowi z tejże nauki. Następnie niech i to służy jako świadectwo naszego założenia, iż kraje najwyżej w oświacie posunięte wykazują największą liczbę mężów, którzy najznakomitsze dzieła o leśnictwie i łowiectwie w ich ścisłem z sobą połączeniu pisali, a w gronie ich przed innymi: Hartig, Döbel, Dietrich aus de Winckell, Bechstein, br. Mellin, ks. Leiningen, Flemming, Becherus, nakoniec br. L. Herdt v. Hutten. Wszyscy ci autorowie stanowczo twierdzą, że leśnictwo i łowiectwo stanowią organiczną całość, że przeto tylko gruntowna znajomość obu tych nauk wytwarza dzielnych urzędników lasowych. Jeżeli zwrócimy uwagę naszą na państwo niemieckie i część monarchii austryackiej, to zaiste z podziwieniem spostrzeżemy tam ogromną liczbę zwierzyny niższego rzędu, dającą nie tylko prawdziwą przyjemność i pożytek właścicielom polowania, ale dostarczającą również całej ludności taniego i posilnego pożywienia. Owe korzyści, któremi te kraje nad naszym górują, wynikają jedynie z rozszerzonej i umiejętnie krzewionej nauki łowieckiej, tam owa nauka stoi na tej stopie, iż wytwarza prawdziwie umiejętnych w teoryi i praktyce łowców. Panowie niemieccy, czescy i morawscy zakładają wszędzie wraz z leśnym urząd łowczy, leśnik musi być zarazem łowcem, łowiec leśnikiem, a to dla podwójnego celu. Niezawodną jest prawdą, i nikt jej zaprzeczyć nie zdoła, iż istotnie powołanym do leśnictwa jest tylko ten, który ma gorące upodobanie w przyrodzie, w lesie i jego mieszkańcach, który namiętnym jest myśliwym. Doświadczenie wskazuje, iż leśniczy, który choćby nie był umiejętnie wykształconym łowcem, ma jednak zmysł i zamiłowanie do myśliwstwa, który w psie swoim widzi towarzysza, pomocnika i przyjaciela, broń zawsze utrzymuje w najlepszym stanie i nigdy się z nią nie rozłącza, że taki bywa doskonałym leśniczym i wiele pożytku przynosi.

Z żalem musimy stwierdzić, iż jedyna szkoła lasowa galicyjska kształci swych wychowańców jednostronnie — jedynie jako gospodarzy lasowych, nawet elementów łowiectwa nie uczy zdając się zapominać, iż młodzieniec nie przyjęty w szkole zapałem i miłością dla przyrody, a te tylko zmysł łowiecki i nauka łowiectwa mogą do wysokiego stopnia rozwinąć, będzie tylko ekonomem lasowym, a las dla niego będzie tylko polem uprawy i spożytkowania jego. Przy takiej niezupełności nauki szkoła ta nigdy nie dostarczy urzędników lasowych w pełnem tego słowa znaczeniu, bo nie będą oni umieli korzystać z darów, jakich nam przyroda w zwierzostanie udziela, i zmarnują rychło ową cząstkę bogactwa krajowego. Zanim wykażę korzyści, jakie wypływają z kształcenia umiejętnych łowców, winienem naprzód mówić o szkodach wynikających od urzędników lasowych, którzy nie mają wrodzonego lub nauką nabytego upodobania w łowiectwie, lub u których ów szlachetny popęd jest skrępowanym, Zbyt często u nas niestety się zdarza, że leśniczemu nie wolno posiadać psów łowczych, zwłaszcza wyżła, i z bronią palną pojawiać się w lesie. Powodem tego zakazu bywa zwykle nieufność. Smutne to zaiste! Zakaz taki obraża dotkliwie szlachetne uczucie leśniczego i nie pozwala mu przejąć się przychylnością, a wyradza obojętność. Nie jednego znałem leśniczego, który z boleścią mawiał: „Cóż mnie obchodzą kłusownicy i drapieżne zwierzęta, kiedy mi nie wolno używać strzelby i przyjemności myśliwskiej, kiedy zawistnie nie dozwolono mi nawet tępić srogiego dla niższego zwierzostanu

lisa!“ Wydarza się też, że taki leśniczy nieutajoną objawia radość, gdy kłusownictwo i drapieżnictwo dotkliwe wyrządzają szkody. Możnaż się temu dziwić? Tymto sposobem wytwarzają się nieuczciwi urzędnicy lasowi — zawiścią, nieufnością! Przekonałem się nieraz naocznie, iż urzędnicy lasowi, którym wzbroniono trzymać psy i posiadać broń palną, zwidzają rewiry swoje tylko w razie niezbędnej konieczności, najczęściej konno, by się zbytecznie nie nużyć. Taki leśniczy nie dotrze w gąszcze, nie zna legowiska zwierzyny, nie zna zwierzostanu, i dowie się o nich chyba od gajowego. Kroczy on tylko drogami leśnemi i wyciętemi linijami. Leśniczy niemyśliwy, lub gdy mu nie wolno używać strzelby, nie bywa w lesie, kiedy jutrzenka pierwszy promień światła rzuca, nie zna skinienia Diany tyle pociągającego, dźwiga się z wygodnego łoża, kiedy słońce wysoko się już podniosło, a kłusownik i zwierz drapieżny uniósł już swoją zdobycz; skoro spełnił obowiązek swój ekonoma lasowego, dąży wcześnie do domu, i zaledwo słońce zapadło, już używa spoczynku marząc o swej nieszczęsnej doli. Tymczasem kłusownik i drapieżna rota zwierząt ciągną zuchwale i bez obawy po łup i mord. Jakaż w tem korzyść? — Wieleżto jest leśniczych w Galicyi, którzy żadnych nie mają naukowych wiadomości o leśnictwie i łowiectwie! Lokaje, kucharze, chłopi lub inne upośledzone indywidua zajmują te posady jedynie z powodu nierozumnej oszczędności. Tragikomiczny to rachunek! Nic dziwnego, iż w takich warunkach leśnictwo i łowiectwo u nas w tak przerażającej mierze upadają, i że tem dobrobyt kraju tak dotkliwie coraz bardziej się zniża. Jeszcze pora zaradzić temu złemu, głównie kształceniem i protegowaniem umiejętnych leśników i łowców, regulowaniem łowiectwa i wyciąganiem z niego obfitych korzyści.

Zmysł łowiecki polega przeważnie na przyrodzonym popędzie użycia siły, na powabie pociągającym ku zwalczeniu trudów i niebezpieczeństw, na niepokonanym prądzie ducha zmierzenia się z groźną siłą przyrody w zapasach z niszczącą jej potęgą, jaka się objawia również w drapieżnych zwierzętach. Jak długo łowy posiadały ów szlachetny powab, jak długo go sztuką nie zastąpiono, były one prawie wyłącznie namiętnem upodobaniem wyższych stanów, i ustępowały tylko wojowniczemu duchowi, z którym tożsamo wiodły pochodzenie. Naturalnym było następstwem, że łowiectwo obok wojowniczości podnosiło do uznania, chwały i nadgrody. Łowiectwo naszej doby już nie jest tem, czem było przed wieki, gdy nasi przodkowie z niedołężną bronią stawali do walki z ogromną liczbą zwierząt groźnych w niezmierzonych jeszcze kniejach. Dzisiaj inaczej! Znikł powab szlachetnego łowiectwa, pole popisu zmieniło się zupełnie. Niezmierne puszcze leśne padły pod toporem exploatacyi lub na tak drobne części się rozdzieliły, iż zaledwie wystarczają na wyzyskanie potrzebnego drzewa. Znikł też świat zwierzęcy wytępiony lub wypłoszony. Dodać należy, że broń palną do najwyższego niemal szczytu udoskonalono, i że z każdym dniem mnoży się liczba nie myśliwych, lecz strzelców. Weźmy to wszystko na uwagę, a łatwo przejmiemy się przekonaniem, że w takich warunkach zwierzostan w kraju naszym bliskim jest zupełnego wytępienia. W pozostałych jeszcze lasach, które troskliwie szanować należy, na rozległych rolach, łąkach, stawach i moczarach możnaby utrzymywać odpowiednią liczbę pożytecznych zwierząt łownych różnego rodzaju bez widocznego uszczerbku dla rolnictwa i leśnictwa. Łowy na owe zwierzęta, urządzane według prawideł nauki łowieckiej, mogą się stać wcale bogatem źródłem korzyści dla leśnictwa. Nie da się zaprzeczyć, iż niektóre zwierzęta szczególnych ludziom dostarczają pożytków, a nawet stały się już potrzebą. Mięso ich daje nietylko nader poszukiwane, ale też wielce pożywne i zdrowe pożywienie. Skóry i futra służą nam jako odzież i do innego użytku. Nierozsądkiem byłoby przeto samowolnie wyrzekać się korzyści, które się przyczyniają do podniesienia dobrobytu krajowego. Więc w celu spożytkowania owych darów przyrody należy gorliwie zająć się ochroną i hodowlą zwierząt łownych. Stać się to może jedynie wtedy, jeżeli kierownictwo tej pożytecznej czynności powierzone będzie ludziom fachowo wykształconym. Jak już wyżej wyrzekliśmy, nie są u nas do tego usposobieni ani właściciele lasów, ani ich urzędnicy lasowi, nie posiadają bowiem, z wyjątkiem nader nielicznych, potrzebnych naukowych wiadomości. Nie mówimy tu o hodowli zwierząt w zwierzyńcach, rzecz to zbytku i dyletantyzmu, lecz o żyjących na wolności. Lubo sam zakres łowiectwa nadaje myśliwym różnorodne cechy i nazwy, to jednak dla Galicyi potrzeba przedewszystkiem łowców fachowych, zajmujących się przeważnie myśliwstwem niższego rzędu, mniej wagi kładąc na łowy najwyższego rzędu, również na łowy *par force*, sokolnicze i bażancie, te bowiem są rzeczą amatorstwa. Zwróćmy więc uwagę naszą przedewszystkiem na owych łowców fachowych. W miarę podnoszenia się kultury w kraju mnożeniem się ludności, wzmagają się też jej potrzeby. Kraje koronne Niższej-Austryi, Czech, Morawii i Szląska podniosły się w tym względzie znacznie ponad inne, a szczególnie ponad Galicyę. A jednak przyroda dała krajowi naszemu warunki o wiele dla tego celu korzystniejsze, mianowicie znaczne przestrzenie lasów, rozległe pola, rzeki porosłe zaroślami, stepowe niemal rozłogi bujnie zakrzewione. Takich warunków nie mają owe kraje wyższej kultury, tam trzeba dla utrzymania zwierzyny różnych, sztucznych środków, tam w polach zakładane bywają remizy i zagrody, w ogóle nie mało trzeba łożyć kosztów, aby zwierzostan podnieść, a mnożą się owe koszta utrzymywaniem fachowych łowców, a jednak łowiectwo w Niższej-Austryi, Czechach, Morawii i na Szlązku tak bardzo góruje nad innemi, co jest najwymowniejszem świadectwem, że jedynie umiejętne łowiectwo podnosi stan zwierzyny, i że bogaty zwierzostan przyczynia się znacznie do dobrobytu krajowego, i otwiera dla leśnictwa jedno z źródeł wyciągania korzyści.

Wspomnieliśmy już u wstępu, że szkoła wyższa lasowa w Mariabrunn ma najwyższy urząd łowczy, naczelnik tego urzędu jest zarazem dyrektorem bióra leśnego i łowczego. W tejto szkole Mariabruńskiej kształci się różnorodna straż lasowa, która wstępuje następnie do cesarskiej lub prywatnej służby. Wszyscy wychowańcy tego zakładu przejęci są gorąco uczuciem potrzeby hodowania zwierząt łownych, jako nieomylnej korzyści w gospodarstwie leśnem i polowem, i wspólnie pracują w celu podniesienia zwierzostanu krajowego, wspierając się nawzajem radą i pomocą. Ponieważ leśnictwo z łowiectwem są tam ściśle z sobą związane, to wszyscy urzędnicy podlegają dyrektorowi lasów lub względnie naczelnemu łowczemu w miarę, jak tego potrzeba wymaga. Zdarza się też, że rozdzielają się w swej czynności urzędnicy lasowi i łowieccy, zawsze jednak stoją pod kierunkiem jednej dyrekcyi. Oprócz takiego naczelnego urzędu łowieckiego, utrzymują możni panowie w Niższej-Austryi, Czechach, Morawii i na Szlązku takichże urzędników łowczych, takich też ma arcyksiąże Albrecht, ks. Schwarzenberg, Lichtenstein,

br. Sinay i inni, a każdy właściciel większych posiadłości ma fachowych łowców, podzielonych na nadłowczego, łowczych, elewów i odpowiednią liczbę gajowych i polowych. Tak jak np. u nas rozdzielona jest dyrekcya lasów, tak również podzielona w owych krajach dyrekcya łowiecka, która w miarę swego ukształtowania zawiadywaną bywa przez urzędników lasowych z pomocą odpowiedniej liczby łowców lub oddzielnie od leśnictwa przez fachowych łowców. Wszyscy nadłowcy, łowcy, elewi, gajowi i polowi, z których ostatni wyuczeni są do wyławiania pewnej zwierzyny, wyszukiwania gniazd bażancich, wysłuchiwania kuropatw, sporządzania i zakładania różnorodnych sieci, sideł, łapek na zwierzęta drapieżne, podlegają naczelnemu urzędowi łowczemu, od którego wychodzą rozkazy dotyczące hodowli zwierzyny w ogólności, i rozporządzenia odnoszące się w szczególności do żywienia, wybijania, wyławiania, zimowania i rozpuszczania rozmaitych rodzajów zwierząt. Te szczegółowe rozporządzenia zawisłe są zwykle od bieżących sprawozdań nadłowczych, łowczych, gajowych i polowych. Jakkolwiek koszta łożone na utrzymanie takiego Urzędu i jego podwładnych są nader znaczne, to jednak żadna tam posada nigdy nie jest opróżniona, co jest dowodem, że łowiectwo może być i jest istotnie intratnem. W Galicyi i na Bukowinie mogłoby łowiectwo, urządzone z mniejszym kosztem, przynieść znaczniejsze nawet, jak w tamtych krajach, dochody, i dostarczyć większych korzyści. Zaprawdę mogłaby Galicya bez uszczerbku dla rolnictwa i leśnictwa stać się zwierzyńcem monarchii. Zwróćmy uwagę na nasze góry, rozległe pola i łąki, moczary, stawy, lasy, na przestrzenie obrosłe różnorodnym krzewem, a łatwo przekonamy się, jak wielkie korzyści z nich wyciągnąć możemy i powinniśmy. Pomińmy Karpaty, owo siedlisko grubej zwierzyny, a patrzmy jedynie na okolice Galicyi przydatne do podniesienia łowiectwa niższego rzędu. Gdziekolwiek oko nasze sięgnie, widzi miejscowość odpowiednią do hodowania jakiejś zwierzyny, mianowicie sarn, dzików, zajęcy, bażantów (ale nie sztucznej bażantarni), cietrzewi, jarząbków, kuropatw, a tym ostatnim szczególną poświęcić należy uwagę. Od stóp Karpat aż do północnej i wschodniej granicy jest Galicya jakoby wskazana na zwierzyniec. Dodajmy do tego jeszcze różne rodzaje ptactwa przelotnego, jak słonki, dubelty, bekasy, przepiórki i ptactwo błotne, których Austrya, Czechy, Morawija i Szląsk prawie nie widzą, na naszych rozległych stawach, bagnach i rzekach różnorodne kaczki, nakoniec owe okolice Podola, w których dropie i pardwy się pojawiają; to niezawodnie każdy przyzna, że Galicya posiada niezmierne bogactwo, dotąd nie spożytkowane, któreby oddane do administrowania fachowym zawiadowcom mogło przynieść ogromny pożytek, podnoszący znacznie dobrobyt kraju.

Wiadomości te czerpałem w części z teoryi, głównie zaś z praktyki, nabytej podczas długoletniego pobytu poza granicami kraju, gdzie brałem udział w różnych łowach i miałem sposobność obcowania z dzielnymi i wykształconymi łowcami, gdzie wreszcie widziałem wzorowo urządzone łowiectwo.

Przy dobrej woli i rozumnem rozpatrzeniu rzeczy dałby się z łatwością zaprowadzić niezbędny dla Galicyi naczelny Urząd łowiecki. W celu polecenia tego nader ważnego wniosku oddaje go pod protekcyę naszego zasłużonego już „Łowca“, który niezawodnie powoła go do życia zwłaszcza na Walnem Zgromadzeniu łowieckiem, i podda pod rozwagę. Jako wytrawnych i fachowych tak w leśnictwie jakoteż w łowiectwie mogę wskazać dyrektora lasów p. Gebauera w Galicyi, nadleśniczego pana Ant. Ulricha na Bukowinie, którzy niezawodnie chętnie i radośnie powitają na Walnem Zgromadzeniu ów wniosek, rady i pomocy udzielą, i swoją rozległą w tym kierunku wiedzą wesprą projekt dobrego urządzenia łowiectwa w kraju.

A więc żwawo bierzmy się do czynu, póki pora, bo zwlekanie przynosi z każdym rokiem znaczniejsze szkody, a urządzenie wzorowego łowiectwa wymaga wielu lat, nim dojdzie do tego szczytu, na jakim inne kraje monarchii austryackiej już stoją i stale się utrzymują.

Streszczając rzecz całą, stawiam pod rozwagę Walnego Zgromadzenia Tow. łow. następujący wniosek: wprowadzenie do lwowskiej Szkoły gospodarstwa lasowego osobnego wykładu nauki łowieckiej, — utworzenie posady naczelnego dla całego kraju Łowczego.

NA BŁOTACH BEŁZKICH

PRZEZ

Alexandra Ubysza.

Pewnej nocy mróz doszedł do niezwykłaj potęgi. Obchodząc nocą gospodarstwo, usłyszałem w lesie huk podobny do strzału, następnie drugi i trzeci, sądziłem, że kłusownicy lub myśliwi polują na wychodnego czyli z zasiadki. Bezwłocznie zabieram z sobą dwóch parobków i spieszę w las. Chodzimy, szukamy, nie ma nikogo, wreszcie z dali dochodzi nas huk, a po chwili drugi w pobliżu mojem, wtedy parobek rzecze: „To kora jodły pęka od mrozu“. Jakoż w istocie spostrzegłem pękniętą korę na kilka łokci wzdłuż pnia, jak gdyby ją kto nożem przekroił. Zjawisko takie było dla mnie nowością. Wiedziałem o pękaniu gontów pod wpływem silnego mrozu i o kruszeniu się żelaza. Słyszałem opowiadania ś. p. Franciszka Skrzynskiego i Józefa bar. Beesa, żołnierzy z armii Napoleona I., iż w czasie odwrotu armii z pod Moskwy w skutek nadzwyczajnych podówczas mrozów bagnety piechoty przy najlżejszem potrąceniu o siebie kruszyły się u samej szyjki, co też się działo z klingami szabel. Opowiadania te brałem za zwykłą u starych wojskowych przesadę, później wszakże sam o tem naocznie się przekonałem. Pułk, w którym służyłem, stał w koszarach miasta Kolosvar, w Siedmiogrodzie, karabiny całej kompanii wisiały na długim, nieopatrzonym w okna kurytarzu. Żołnierze zchodząc ze służby, a wiedząc, iż żelazo śród tęgich mrozów wniesione do ciepłej izby potnieje, a następnie rdzewieje, nie chcąc sobie przysparzać roboty czyszczenia, zawieszali je w owych kurytarzach. Pewnego dnia zimowego przy zdejmowaniu karabinów niektórzy żołnierze próbując swej siły podnosili w górę karabiny ująwszy za bagnet. Cztery bagnety prysły, a w tem nadszedł kapitan. Rozpoczęły się

indagacye, bura dla mnie za niedozór, a twierdzeniu memu, iż jedynie mróz był powodem pryśnięcia, nie dano wiary, więc kapitan sam robił doświadczenie, i dwa bagnety w ręku mu pękły. Drzewa, a szczególnie jodłowe pękają z powodu zamarzających soków w nich, co też jest dowodem, że soki w zimie obiegają drzewo szpilkowe. Wszakże szpilki są liściami owych drzew, gdyby krążenie soków ustawało, musiałyby odpaść, jak to się dzieje u innych drzew, jak wreszcie u drzew modrzewiowych, które po pierwszym mrozie tracą swe szpilki, a soki chronią się ku korzeniom zabezpieczonym od wpływów atmosferycznych. Im bardziej powierzchnia ziemi jest zamarzniętą, tem lepiej soki drzew ochronione, w przeciwnym razie budzi się przedwczesne krążenie soków, co dla drzew w ogóle jest szkodliwem, a dla owocowych zabójczem. Wymarzanie drzew nie z innej pochodzi przyczyny, jak tylko z tej, że czasem gruby śnieg spada na niezamarzłą ziemię. Wówczas soki nieprzestają w całym drzewie krążyć, a gdy mocny mróz ściśnie, drzewo ginie. Dobrze więc przy tej sposobności przypomnieć właścicielom ogrodów, by w razie upadku śniegów na niezamarzłą ziemię, odgartywali je na kilka łokci w koło pnia.

Lasy jakiegobądź gatunku drzew, zbyt gęste, dają wprawdzie zwierzynie dobre schronienie, lecz nie dostarczają żeru, wieczny bowiem mrok z powodu niedochodzenia promieni słonecznych niszczy wszelką roślinność i nie dozwala rozrodzić się owadom z wyjątkiem niektórych, jakich warunkiem bytu jest cień i zgnilizna. Któż niezna robactwa, toczącego drzewa nawet szpilkowe, których żywica, silnie woniejąca i gorzkiego smaku zdałoby się zabezpiecza je od tej plagi, a jednak żyje w nich pod korą, dostając się aż do rdzenia, nieskończona liczba owych pasożytów. Rozum człowieka tępi je szczególnie ochroną pomocników swoich w tym względzie żołn, dzięciołów i sikor, których wygubianie Ustawa słusznie wzbrania. Komuż nie wiadomo, że żołny i dzięcioły w zimie i w lecie żywią się jedynie owadami w korze, pod korą, a nawet w rdzeniu drzew się znajdujących, owi tak zwani kowale błogosławieństwem są dla lasów, a oraz nadają im powab, ruch i życie.

Wracam do borów sosnowych, których wnętrze opisać zamierzyłem. Nieliczny tam zastęp spiewaków, słowik nigdy w nich nie gości, lubo na pozór liczne mrowiska powinne ich ku sobie przyciągać. Mimo tej przynęty przenosi on las liściasty, gaje laskowe lub nawet nadrzeczne łozy, w nich jakkolwiek nieraz głód mu srodze dokucza, głosi on uroczą pieśń swoją. W lasach sosnowych przebywa ze spiewaków celniejszych chyba drozd, naśladujący głosy innych spiewaków, a nawet słowika, ale to nie spiew, lecz raczej urąganie, ztąd słusznie zwą go Niemcy *Spottvogel*. Następnie mieszka tam ziemba, owa zwiastunka wiosny, jak długo ona donośnym swym głosem ją nieobwieści, tak długo ciepło zwodniczem jest, a śnieg i mróz jeszcze grożą. Turkawki i grzywacze turkoczą tam i gruchają wabiąc samkę do gniazda. Grzywacze i zięby przepowiadały w dawnej Polsce wiosnę.

„Gdy Bazyli *) nie omyli,
Kwoczka nam na grzędzie gdacze,
Wkrótce ziemba też zakwili,
I przyciągną wnet grzywacze,
Po nich dudek, co czub nosi,
I kukulczy babski ród,
Wszystko sławę Pana głosi:
Kuku! kuku! wud! wud! wud!“

*) Dzień 6 Marca, gdy nie ma mrozu, będzie wczesna wiosna.

Kukułka i dudek, niełowieckie to ptaki, więc chyba sobie wyproszę u myśliwych pozwolenie skreślenia ich obyczajów. Dawniej i dziś jeszcze w niektórych okolicach lud wierzy, że kukułek nie było pomiędzy ptactwem, stworzonem na początku świata, że później dopiero pojawiły się one z następnej przyczyny. Chrystus zapuścił się był raz z św. Piotrem w głęboką puszczę leśną, w której zbłąkali się. Dotarli wreszcie do ustronnej chatki leśnika prosząc o gościnę i nocleg. Leśnik niegościnnym był i bezbożnym, poznawszy przeto Syna Bożego rzecze do Niego z urąganiem: „Ażaliś jest Synem Bożym i prorokiem, zdziałaj cud jaki, abym uwierzył, żeś jest nim“. Na te bluźniercze słowa odrzekł św. Piotr: „Ażali sądzisz, że cuda, które Bóg Ojciec Synowi swemu działać dozwolił, mają służyć ku zabawie prostaczków?“ Wtem ozwał się głos: „Kuku! kuku!“ Leśnik rzecze do Chrystusa: „Zgadnij, jakie stworzenie taki głos wydaje?“ A Chrystus na to: „Ptak płochy, nie ścielący własnego gniazda, nie znający błogiego uczucia macierzyńskiego“. Leśnik zaśmiał się szyderczo i rzekł: „To nie ptak, lecz córka moja, której dla wypróbowania twojej wszechwiedzy, tak się odezwać kazałem, pójdźcie i przekonajcie się naocznie“. Gdy się zbliżyli do drzewa, na którem córka leśnika z przykazu jego się umieściła, woła tenże: „Zejdź i okaż się człowiekiem, nie ptakiem, jakim cię ów fałszywy prorok być mienił“. Atoli nad głowami przybyłych przelatuje ptak z głosem kuku, kuku, zakończonym chichotaniem. Struchlał leśnik, bo ani widział w życiu swojem takiego ptaka, ani słyszał o nim. Napróżno szuka córki, napróżno sam drapie się na drzewo, córka jego przemieniona w ptaka uleciała w daleki bór. Leśnik pada na kolana przed Synem Bożym, błaga o odwołanie smutnego wyroku, bo on wdowiec, a córka jego jedyną pociechą. Wtedy Chrystus rzekł: „Stało się, jam spełnił wyrok Boży“. Od owej chwili pojawiła się kukułka w świecie zwierzęcym. Że zaś przemiana nastąpiła z niewiasty, więc lud wierzy, że samców w tym rodzie kukulczym nie ma, i że owe wietrznice z jakimkolwiek samcem się łączą, a owoc swej swawoli gdziekolwiek podrzucają. Od owej też chwili jawią się pustelnicy leśni, którzy jako ów leśnik wyrokiem Bożym przeznaczeni wyprowadzać błądzących z puszczy, czyli raczej błądzących w wierze na drogę prawdy. Długo miał ów leśnik, według podania ludowego, żyć jeszcze w owej puszczy, on to rozumiał mowę ptaków leśnych, które miały mu wskazywać, gdzie ulatuje jego córka, przemieniona w kukułkę. Tak mówi baśń, — w istocie jest to ptak użyteczny, żywi się bowiem tylko owadami i tępi je. Nadto jedyna kukułka pożera gąsienicę drzewną, zwaną włosiennicą, której żaden inny ptak nie dotknie. Ma owa gąsienica na sobie włos ostry i napojony jadem, który w zetknięciu z ciałem sprawia ból piekący i dotkliwy. O tem naocznie się przekonałem. Na wsi, gdzie dawniej stale mieszkałem, rosła przy domu rozłożysta grusza, którą pewnej wiosny osiadła niezmierna liczba owych gąsienic kosmatych. Nie tępiłem ich pragnąc się przekonać, ażali wróble je pożerać będą. Godzinami całemi patrzałem na hurmę wróbli i innego ptactwa, obsiadających gruszę, ale żaden ani tknął gąsienic, aż w końcu nadleciała kukułka. Wtedy dopiero przekonałem się o jej żarłoczności, połykała jedną po drugiej gąsienice bez końca, gdy już całe niemal drzewo oczyściła i do odlotu się zabierała, zastrzeliłem ją w celu zbadania jej wnętrzności. Gardziel powleczona grubą, dość twardą powłoką barwy pomarańczowej, może przeto bez szwanku połykać gąsienice owłosione, które o ile sprawiają przy dotknięciu ból dotkliwy, na sobie sprawdziłem. Oczyszczając drzewo niecierpliwy zbierałem je ręką, która po tej operacyi nabrzmiała

ogromnie. Nic nie pomogło smarowanie oliwą, wreszcie użyłem środka niezawodnego po ukąszeniu pszczoły, soli rozpuszczonej w occie. Ból zwolniał, ale ręka była jeszcze obrzmiała przez dzień cały, i długo jeszcze czułem w niej swędzenie. W wnętrznościach kukułki znalazłem zbity kłębek z półżywych jeszcze gąsienic. Kukułka lubo płochliwa nie unika mieszkań ludzkich, przy których w sadach i ogrodach znajduje obfity żer. W czasie zalotów t. j. w Maju przebywa stale po lasach i dąbrowach, a od drugiej połowy Czerwca wszędzie jej pełno, czy to w lasach, czy chaszczach lub zaroślach. Wtedy oprócz żeru szuka gniazd ptasich, i składa w nich swe jaja, po jednemu w każdym. Ptak ten z natury nader ruchliwy i wrzaskliwy. Na zimę odlatuje. Wczasie pobytu u nas dwa razy zbliża się do mieszkań ludzkich, w połowie Czerwca, gdy po sadach szczególnie włościańskich tępi gąsienice i chrząszcze, które w całości połyka, następnie w jesieni, ale już milcząca, bo w końcu Lipca przestaje kukać, czyli jak lud mówi: dławi się kłoskiem jęczmiennym. Wtedy już dobrze oblana, lot jej ciężki, dąży w ogrody kapuściane, gdzie znajduje żer suty w gąsienicach zwanych kapustnicami. Gąsienice te rozłażą się wszędzie, obsiadając budynki i drzewa, gdzie w poczwarki się przemieniwszy zimują, aby w przyszłym roku ulecieć w postaci białego motyla. Tam pożera je kukułka krociami. Jest to więc ptak nader pożyteczny, godzien ochrony. Twierdzenie jakoby ona wybierała z gniazd ptasich pisklęta, jest mylnem, ptak ten jest wyłącznie owadożernym, nie drapieżnym, a najlepszym tego dowodem jest jej dziób wątły. Sława jej drapieżności urosła chyba z podania ludowego, które głosi, że kukułka po trzech latach w jastrzębia wróblarza, szulaka się przemienia.

Drugim stałym mieszkańcem lasów, osobliwie sosnowych, jest dudek. Lud zwie go Wudwudkiem od głosu, jaki z siebie wydaje. Dosyć późno on się pojawia, bo na zimno nader wraźliwy. Jak kukułka i inne ptaki tępi owady na drzewach, tak dudek tępi je jakoteż płazy na ziemi lub w wnętrzu jej żyjące, w tym celu obdarzyła go przyroda długim, cienkim, i nieco w końcu zakrzywionym dzióbem. Prócz bystrego wzroku posiada on też węch doskonały, podczas żerowania kroczy po ziemi i wietrzy dżdżownice lub inne owady w ziemi ukryte, wyciąga je dziobem i połyka, a żarłocznym jest bardzo. Gdy posucha i dżdżownice zbyt głęboko zagrzebują się w ziemię, natenczas żeruje dudek w ciemnym lesie, nie zbliża się do mieszkań ludzkich, do ogrodów, ale natychmiast się pojawia, gdy deszcz ma zwilżyć ziemię, wówczas bowiem owady wychodzą na wierzch. Niezawodnym są przeto dudki prognostykiem deszczu po długiej posusze. Ponieważ rad siada na uprawnych grzędach ogrodu, gdzie z powodu nawozu najwięcej owadów się wylęga, bywa posądzany, iż pożera czosnek, i ztąd w jesieni czosnkową woń z siebie wydaje, i uważany niesłusznie za szkodnika. Ztąd idzie przysłowie: „śmierdzi jak dudek". Czarna to potwarz, żyje on tylko owadami, szkodliwymi dla roli i ogrodów i raczej ochraniany być powinien.

Możem za daleko odbiegł od zamierzonego przedmiotu, ale czyż podobna opisując las nie podzielić się spostrzeżeniami, jakie w nim czyniłem. A nie zawsze w takiej leśnej podróży trzymałem się dróg utartych, owszem chętnie zanurzałem się w głąb czy to pieszo, czy na koniu, a zawsze z zaostrzoną ciekawością, z gorącą chęcią zbadania rzeczy dotąd mi nieznanych. Miałem też raz do takich wycieczek klacz, której babka pochodziła ze sławnego Sławuckiego stada książąt Sanguszków. Wytrwałą była na głód i trud, a biegała jak chart. Ileż to zajęcy uszczułem na niej, a szła równo z chartami. Rączości jej niech mi wolno będzie przytoczyć choć jeden przykład, iż sławnego z rodu swego i chyżości, białego jak śnieg, oryginalnego arabskiego ogiera p. Ad. Udr kilkakrotnie w biegu prześcignęła. Była ona maści ciemno-kasztanowatej. Zginęła w nader nieszczęśliwy sposób, ubodzona śmiertelnie przez byka. Na prawdziwem kozackiem siodle, w tak zwanym mantelzaku umieściwszy nieco bielizny i odzieży, w spore sakwy z tyłu przytroczone z jednej strony włożywszy trochę prowiantu dla siebie, z drugiej kilka garncy owsa dla klaczy, z sławnym owym pistoletem, o którym już wyżej wspomniałem, wyprawiałem się nieraz na długie wycieczki, których owoce służą teraz do usypiania czytelnika tej mojej ramoty.

Od Lwowa w górskim szlaku leżącego dopiero Żółkiew rozlega się na najzupełniejszej równinie. Ztąd aż ku Polesiowi śmiało bez dyszla u wozu jechać można, tak tu równo, piaszczysto, bagnisto, aż ku brzegom Prypeci, ku właściwemu Polesiowi, i sławnym jego moczarom, a nawet dalej, bo łączą się z puszczą Białowieską. Pragnąc tę część kraju zcharakteryzować, dosyć będzie przytoczyć przypowiastkę poleską: Gdzie nizina tam olszyna, — moczar, rzeka, staw, jezioro, — dąb na wzgórkach, — a gdzie piasek, — tam sosnowy las lub lasek. Okolica, którą za tło tej mojej myśliwskiej rozprawy sobie obrałem, interesująca jest już z tej przyczyny, że pod względem położenia jest najniższą z ziem polskich, a krańcem swym południowym dotyka Karpat, a raczej ich odnogi, pod Żółkwią, Rawą i innemi miejscowościami się ciągnącej, drugim zaś w stronie północno-zachodniej przylega do Baltyku. Według starej geografii cała ta przestrzeń od Żółkwi i Rawy począwszy, kędy płyną rzeki Rata, Sołokija, Bug, następnie okolice Toporowa, Brodów, Radziwiłłowa, zwała się Polesiem. Najniżej to położona płaszczyzna Polski, niższa od wszystkich nadrzecznych nizin, jak nadwiślańska, naddniestrzańska, podolska, ukraińska i poberezka, różni się też od nich pod każdym względem, stanowiąc odmienny, sobie tylko właściwy typ, nie dający się usunąć, jest bowiem dziełem przyrody, w obec której ugiąć się muszą rozum i praca ludzka. Cząstka ta większej całości dostała się przy rozbiorze Polski pod panowanie Austryi, i ztąd utraciła nazwę swą Polesia, do którego w czasach Rzeczypolitej należała, będąc jego początkiem. Do tak zwanego cyrkułu Żółkiewskiego dziwnym trafem przyłączyło się kilka okrawków dawnych ziem i województw, i tak część województwa Bełzkiego z miastami Warężcem, Bełzem aż po Bug, Sokal i Krystynopol, dalej z miastem Uhnowem ze wszystkiemi wsiami po lewej stronie brzegów rzeki Sołokii, aż do dzisiejszej granicy Polski kongresowej, skrawek to ziemi Hrubieszowskiej. Miasta Rawa i Potylicz wraz z całą swą okolicą — to część dawnego województwa Lubelskiego. Cała okolica z prawej strony brzegów Sołokii aż pod samą Żółkiew — to już Polesie, nie bogate w urodzajną ziemię, jak Bełzkie równające się Podolowi, ale bogate w bory dębowe i sosnowe, z których wiele dawniej szło materyału na budowę okrętów, posiadała bowiem dębina owych lasów nieoceniony przymiot ciągłości i wytrwałości wobec naporu rozhukanych bałwanów lub uderzeń o rafy i skały podwodne, a co najważniejsze, opierała się zgniliźnie. Dziś nie ma okrętów żaglowych, dziś statki są parowe, żelazne, z bokami z dębiny Kanadyjskiej, kruchszej i mniej wytrwałej, ale tańszej. Maszty dawniej sosnowe dziś zastąpione jednym olbrzymim masztem z sośniny norwegskiej lub szwedzkiej.

(Ciąg dalszy nastąpi).

O LUFACH

PREZ

Ludwika Weebera.

Nim przystąpimy do rozpatrzenia się w lufach lepszego gatunku pod względem wpływu, jaki fabrykacya ich na siłę i donosiłość tychże wywiera; wypada nam naprzód poznać mięszaniny metalowe, z których lufy są wyrabiane. Mając szczególnie lufy dziwirowane na względzie, nie możemy jednak pominąć luf gładkich, a to głównie dla dosadniejszego rozjaśnienia rzeczy. Lufy gładkie wyrabiane bywają w trojaki sposób. Pierwszym najdawniejszym jest spajanie dwóch kawałków blachy żłobkowato zgiętej. Drugim poprawniejszym dziś ogólnie przyjętym sposobem wytwarza się lufy z jednego kawałka szyny, z której przy pomocy t. z. dornia stalowego i kowadła wklęsłego powstaje lufa w ten sposób, że rozżarzony ten kawał szyny wyciąga się naprzód pod młotem do odpowiedniej długości, następnie wygina w kształcie cylindra na dorniu, a ostatecznie spaja czyli szwajsuje przy obfitem użyciu boraksu lub innych ingredyencyi, ułatwiających połączenie brzegów tego cylindra. Trzeci wreszcie sposób robienia luf gładkich polega na spiralnem owinięciu cienkiej szyny czyli taśmy żelaznej około dornia i następnem spojeniu jej w sposób poprzedni. Lufy takie pod gwarancyą wyrabiane dostają zwykle lepszy materyał, który stanowi żelazo szwedzkie, mające ustaloną reputacyę przy wyrobie broni palnej.

Przechodzimy teraz do wyrobu luf dziwirowych: Drobne kwadratowe sztabki żelaza i stali 5 — 6 milim. grubości a 35 do 40 mm. długości wkłada się w porządku ułatwiającym łączenie do formy cylindrowej z blachy. Paczka taka ważąca 30—32 kilogr. wystarcza na cztery pary luf podwójnych, jedna zatem para luf ważąca 1.180 do 2 kilogr. wymaga około 8 kil. materyi pierwotnej. Paczka ta kuje się i dzieli znowu na sztabki 6—8 mm. w kwadracie, sztabki owe wkłada się następnie pojedyńczo do ognia, i wydłuża pod młotem na taśmy 7—8 mm. szerokie, a długie w miarę potrzeby. Oto najprostszy wyrób tak zwanego taśmowego dziwiru *(tordu à ruban) (bandlauf)*.

Inne a zawsze mechaniczne składniki stanowią druty z żelaza i stali, a z ich połączenia powstaje dziwir drutowy *(drahtlauf)*. Grubsze lub drobniejsze prążki dziwiru zależeć będą od tego, im więcej razy szyna dziwirowa w ogniu i pod młotem wyciągnięta, zostanie następnie przełamaną i podwójnie na długość znowu zaszwajsowaną, tak np. połączenie pięciu drutów żelaznych i pięciu drutów stalowych da nam szynę dziwirową z dziesięcioma prążkami, przy zastosowaniu kwasu mineralnego jako probierza tego dziwiru, przez następne zaś wyciąganie i szwajsowanie podwójne otrzymamy 20, 40 do 320 drobnych prążków dziwirowych. Dalszy sposób wyrobu dziwirów wytworniejszych polega na lżejszem lub silniejszem skręcaniu czworogrannej sztabki dziwirowej. Sztabka ta rozgrzana w ogniu i przytrzymana w szrubsztaku w jednym końcu, skręca się następnie do połowy swej długości i podwójnej czasem grubości pierwotnej, a cztery kanty tej sztabki utworzą poczwórne pasemka misternych splotów, które będą tem drobniejsze, im cieńszą skręcało się sztabkę. W ten sposób powstaje np. dziwir różysty *(damas turc)* i inne. Z pomiędzy wielu rodzajów dziwirów wymieniamy znane już: *ruban de fer* albo *tordu à ruban* z drutu żelaznego bez żadnej przymieszki stali, *ruban d'acier* z drutu stalowego, mniej praktyczny, bo zanadto kruchy, *damas turc* z tego samego co *damas d'acier* materyału, kilkakrotne łamanie i następne łączenie szyn dźwirowych daje temu rodzajowi dziwiru twardość właściwą oprócz piękności. Połączenie dwóch rozmaitych dziwirów np. jednej taśmy *damas d'acier* i dwóch *damas turc* daje dziwir: *laminette double.* Bernard rusznikarz w Passy pod Paryżem jest wynalazcą dziwiru *Bernard*, i *damas Bernard superfin*, jestto jeden z bardzo wziętych i cenionych rodzajów dziwiru; *damas allongé* jest naśladowaniem dziwiru *Bernard.* Do lepszych dziwirów należy także *damas anglais* i najnowsze ogólnie wzięte *damas moiré* i *damas à feuilloge* czyli dziwiry płatkowe. Na szczególniejszą wzmiankę zasługuje wynalazek angielski dziwiru centkowego *(hufnagel)*. Składnikami jego są stare gwoździe od podków końskich i kawałeczki starych resorów powozowych. Mięszanina tego materyału czyści się w beczułce korbowej z piaskiem, aż do połysku metalicznego, stapia w tyglu na bryłę, a ostatecznie kuje na taśmy dziwirowe. Ten to materyał ustalił sławę rusznikarskich wyrobów angielskich.

Zważywszy te wszystkie opisane dotąd czynności, jakoto: spajanie drutów, gwoździ i t. p. na sztabki, skręcanie tychże dla otrzymania rozmaitych deseni, wyciąganie taśm, dokładne wyrównanie ich, nawijanie na dorń czyli walec stalowy, łączenie tylu taśm, robotą ręczną, jako jedynie możliwą, zważywszy dalej zużycie paliwa wyborowego i innych dodatków, zrozumiemy znaczną cenę luf dziwirowych, które pierwotnie dochodziły prawie wagi złota. Para luf dziwiru różanego kosztowała np. 300 do 400 fl. wal. wied. pierwotnie.

Drogość materyału spowodowała tańszy sposób wyrobu dziwirów. Cieńsze taśmy dziwirowe owija się w tym celu nie wprost na walec stalowy czyli dorń, lecz na rurę blaszaną t. z. koszulę, którą spoiwszy razem z taśmą dziwirową, ma się następnie przez wytoczenie czyli wydrelowanie usunąć częściowo z pozostawieniem słabej tylko wewnętrznej powłoki. Wyrób ten jednakże jest nieodpowiedni celowi ostatecznemu, nigdy bowiem świder nie wybierze wnętrza lufy tak równo, iżby niepozostały miejsca plamiste t. j. czyste żelazo obok odsłoniętego zupełnie dziwiru. Szkodliwe to compositum mixtum dla siły i donośności luf takich, przypomina bardzo niewłaściwe w rusznikarstwie fornirowanie jakoby mebli stolarskich.

Przy robocie maszynowej luf gładkich, szczególnie wojskowych, spełnia czynność spajania luf ciężki walec stalowy, który użyty jako wałek w kierunku podłużnym, mając odpowiednie wyżłobienie cokolwiek ukośne, nadaje lufom kształt koniczny czyli stożkowaty od zapału ku wylotowi. Wykończona lufa niepowinna być już więcej rozgrzewana do takiego stopnia żaru, iżby utracić mogła elastyczność swą pozostałą po ostatecznem użyciu młota lub też nadaną jej sztucznie przez kucie w pewnym tempie na zimno. Jak wielki musi być zatem ubytek siły i elastyczności, gdy się wykończoną lufę trzy do czterech razy poddaje rozgrzaniu do białości, jakiego wymaga spojenie luf podwójnych na mosiądz, lutowanie haka i antabek, a wreszcie przerabianie luf podwójnych na odtylcowe?

Wiercenie czyli właściwie wytaczanie luf gotowych ma przedewszystkiem na celu dokładne wyrównanie cylindra lufy

i uwolnienie jej wnętrza od cyndry i innej szorstkości, następne wiercenie czyli właściwie cugowanie nadaje lufie właściwy kaliber czyli rozmiar wydrążenia, poczem następuje polerowanie jej wnętrza. Bardzo ważnem narzędziem dalszem jest t. z. struna czyli łuk z napiętym drucikiem mosiężnym, drucik ten przepuszczony przez wnętrze lufy, napięty znowu, i przyłożony do błyszczącej powierzchni wewnętrznej, wykaże oku najmniejszą nierówność lub skrzywienie lufy. Zachodzi więc z porządku potrzeba prostowania luf za pomocą osobnej maszyny, przy której śruba lekko przyciągana spełnia tę czynność, dosyć wprawy i doświadczenia wymagającą. Z porządku rzeczy przystępuję do szlifowania luf, dzieje się to za pomocą dużego kamiennego toczydła, przyczem lufy dostają t. z. wyszwajfowanie t. j. wklęsłe wybranie powierzchni w kierunku podłużnym dla odjęcia im zbytniego ciężaru, z zachowaniem właściwej grubości u zapału i wklęsłego zwężania się ku wylotowi. Do przewiercania sztab lanej stali na sztućce i na śrutowe lufy Piepera służą krótkie świdry, które z dwóch stron zakładane zchodzą się w swym koncentrycznym otworze, poczem następuje heblowanie maszynowe.

Dla nawiązania dalszego toku przypominamy pierwotną wziętość i ustaloną reputacyę wyrobów angielskich, otóż dodać musimy, że obok tych pierwszorzędnych wyrobów powstała w Anglii najohydniejsza fuszerka broni palnej, przeznaczonej na wywóz do zamorskich kolonii, były to t. z. *sham-guns (Schandgewehre)*, których tysiączne ofiary różnorakiem kalectwem okupywały cywilizacyę europejską. Za staraniem cechów rusznikarskich wglądnął wreszcie rząd i położył tamę temu barbarzyństwu, a ztąd powstały probiercze dla luf zakłady. Urządzenie zabudowań odpowiednich stanowią mury powleczone wewnątrz grubą blachą, ława *(banc d'eprouve)* pokryta ciężką płytą ołowianą z rowkami do ułożenia większej ilości luf, gruby belek do przytrzymania tych luf, kupa piasku, w której więzną kule i otwór kominowy dla dymu. W krajach, gdzie istnieją takie zakłady, obowiązani są rusznikarze pod karą pieniężną (w Anglii np. 20 funtów szterl.) przed osadzeniem lufy zaopatrzyć ją urzędowym stemplem z odbytej próby, i dziwna zaiste. że tak ważne i zbawienne dla przemysłu zarządzenie nieznalazło dotąd w innych krajach należytego uznania. Jeżeli każdy kocioł parowy podlega przepisanej kontroli, o ileż więcej zasłużyły na nią lufy, te dosyć wątłe narzędzia w obec ciśnienia przeszło 100 atmosfer, jakiemu często podlegają. W końcu XVII. stulecia powstał pierwszy zakład probierczy w Londynie, następnie w St. Etienne, w Liege i t. d. W Austryi istnieje podobny zakład w Czechach, jest jednak o tyle nieodpowiednim, że najważniejszą rzecz pominięto t. j. wybicie urzędowego piętna czyli stempla, który jedynie mógłby zadowolić oględnych nabywców. Wedle taryfy specyalnej dostaje przy próbie każda lufa w miarę swego kalibru, (do sprawdzenia kalibru służy pieniek żelazny stożkowato zwężony, opatrzony linijkami poprzecznemi, numerowanemi, które w miarę płytszego lub głębszego wpuszczenia w otwór lufy u wylotu oznaczają jej kaliber), nabój prochu więcej jak poczwórny w stosunku do zwykłego i kulę. Tak np. 16stka dostaje 18 g. prochu, podczas gdy zwykły jej nabój wynosi $3\frac{1}{2}$ g. Po wystrzale jednoczesnym wszystkich luf ułożonych na ławie za pomocą podsypki prochu komunikującej z ich dziurkami zapałowemi przy tymczasowych śrubach zatworowych, następują dokładne oględziny każdej lufy. Z wyjątkiem lekkich wydęć czyli przepuklin, które wolno jest do powtórnej próby sklepać i wyrównać na zimno, wszelkie choćby najlżejsze pęknięcia i rysy pociągają za sobą doraźne przepiłowanie lufy. Podwójne lufy otrzymują po przepisanem wypróbowania swego spojenia, z mniejszym wszelako nabojem prochu, piętno drugie, a lufy odtylcowe po osadzeniu w łożysku *(bascul)*, po wypróbowaniu zamknięcia swego, trzecią z rzędu stampillę. Dotychczasowe oznaczenie kalibru luf polega na tem, że ilość kul dopasowanych do rozmiarów lufy, idąca na jeden funt wagi, stanowi to oznaczenie, np. przy 16stce odpowiada ilość kul 16stu jednemu funtowi, przy 12stce 12ście kul i t. d, Podług tego ułożona jest skala kalibrów francuskich, które idą w progresyi geometrycznej: 16, 12, 10, i skala angielska w progresyi arytmetycznej: 15, 14, 13 odpowiada też cokolwiek mniejszym kalibrom. Dla uniknienia tych bałamutnych rachunków najodpowiedniejsze byłoby oznaczenie przecięcia otworu lufy w milimetrach, jak się dzieje przy rewolwerach.

Od dobrego równoległego spojenia dwóch luf pojedynczych zależy cały efekt luf dubeltowych. Lutuje się czyli spaja lufy na mosiądz albo na cynę. Pierwszeństwo należy się lutowaniu na cynę lutowanie na mosiądz jest nietylko złym, siłę i elastyczność luf niszczącym zwyczajem, ale nadto niepotrzebnem marnowaniem paliwa. Lufy niepotrzebują tak silnego na pozdłuż spojenia, jakie daje mosiądz, zwłaszcza że i linia celna przyczynia się już do tego połączenia. Lufy pojedyncze jako ciała koniczne potrzebują odpowiedniego wypiłowania w grubszych końcach u zapału, w przeciwnym razie przy niewłaściwem wypiłowaniu i złożeniu luf dubeltowych, powstanie mylna zupełnie linia celna. W tej mierze grzeszą rzeczywiście rusznikarze, dając lufom zanadto konwergujące połączenie przez niewłaściwy wzgląd na urojoną piękność, którą razi potrzebne często rozdzielenie wylotu luf małym klinkiem żelaznym. Dla wypróbowania należytego spojenia luf służą dwa toczone kołki drewniane opatrzone dziureczkami koncentrycznemi. Lufy z wetkniętymi u zapału kołkami ustawia się poziomo, i patrzy przez dziurki kołków i wyloty luf na oddalony około 100 kroków punkt jaki. punkt ten w środku obu kół u wylotu widziany, daje miarę dobrego spojenia.

Co do materyału luf przytaczamy tu dawne mniemanie, że lufa powinna być tak miękka, iżby ją prawie nożem krajać można. Przy dawnych masywniejszych lufach perkusyjnych miało mniemanie to niejakie uzasadnienie przez tarcie zwiększone, jakie miękki materyał lufy nadawał dawnej przybitce kłakowej. Przy lufach odtylcowych cieńszych, z których strzela się twardymi sztoplami lub tekturą, mniemanie to nie ma żadnej podstawy. Brandeis rusznikarz w Pradze, autor fachowy i redaktor czasopisma „Der Waffenschmied“ nazywa lufę „sprężyną w większych rozmiarach, bo im szybciej po wystrzale wraca do swego pierwotnego stanu, tem większą siłę i szybkość nadaje swemu pociskowi“, a Neumann, fabrykant broni w Liege i autor kilku dzieł fachowych ostrzega, aby lufa była przedewszystkiem dosyć wąską, iżby dała dostateczny opór i tarcie swemu pociskowi. Bejcowanie luf czyli wyciąganie dziwiru jest już dalszą czynnością warstatów rusznikarskich; z fabryki przychodzą wszystkie lufy gładkie i dopiero po kąpieli w kwasach mineralnych, przy szczelnem zatkaniu otworów, i po następnem użyciu drapaczki czyli szczoteczki z drucików stalowych, dziwir w miarę hartu przyrodzonego stawiając mniejszy lub większy opór działaniu bejcy, występuje ostatecznie na powierzchni luf w pełni fantastycznych zarysów i odcieni barw. Wytoczenie gniazda na ładunek przy odtylcówkach powinno być zastosowane do próżnego ładunku, t. j. bez zwykłego po napełnieniu rurki zakręcenia, które rozwijając się po strzale w razie krótkiego wytoczenia gniazda, pokrywa karb wewnętrzny, powoduje szarpnięcie i bezsilny wylot naboju, wytoczenie po-

winno być raczej dłuższe o jakie $^1/_4$ mm., niżli krótsze, choćby o $^1/_{10}$ mm., karb ten wewnętrzny po wytoczeniu gniazda pozostający zmniejsza się przez zwężające krótkie przejście do dalszego utworu lufy. Wytoczenie karba zewnętrznego, który wystającym brzegom skówki nabojowej daje właściwe oparcie, musi być równie staranne, jeżeli jest za głębokie, to nabój przy broni odtylcowej o centralnych zapałach bywa wyskakującym sztyftem zamku popchnięty, i dopiero przyparty do karbu sprawia częste zawody. Przy broni perkusyjnej wymaga zakręcenie kamerśruby również szerszego poprzedniego wytoczenia lufy u zapału, ażeby gwinty śruby przypierającej górnym brzegiem do dalszego otworu lufy ochronić od rdzy przez wnikanie gazów pomiędzy gwinty. Kamerśruba powinna zresztą zawierać w sobie cały nabój prochu, a nadto powinna w niej pozostawać mała warstwa powietrza pod przybitkiem do brzegu jej przylegającym.

Przystępujemy do uwag nad formą i wewnętrznem wykończeniem luf, przyjmując u wstępu zasadę, że forma cylindrowa, zupełnie równa i walcowata w całej długości lufy, jest do użytku myśliwskiego najodpowiedniejszą, a jeżeli owa forma jest z całą dokładnością wewnątrz wykończoną, to daje ona zupełną rękojmię dobrego strzału i niezawodego bezpieczeństwa. Wykończenie wewnętrzne polega głównie na starannem wygładzeniu, ku czemu służy kolbownik, pieniek z miękkiego drzewa, osadzony na grubym pręcie żelaznym, mający w dwóch przeciwległych stronach płaskie wyżłobienie do wkładania w nie półokrągłych pilniczków, pod które w miarę potrzeby podkłada się jeden, dwa lub trzy wycinki papieru. Narzędzie to służy do rozszerzania kalibru albo też do nadawania lufom innych prócz walcowatych jak np. stożkowatych kształtów, o których niżej mówić będziemy. Do wygładzenia luf używa się kolbownika gładkiego, samego pieńka drewnianego, powleczonego szmirglem z oliwą, następnie szpultem czyli bardzo miałkim szmirglem, wreszcie wapnem wiedeńskiem, nadającem lufie ostateczną politurę. Czynność ta, jeśli ma odpowiedzieć celowi, odbywa się zawsze jedynie w kierunku podłużnym, nie zaś spiralnym Wprawdzie łatwiej jest wygładzić lufy w kierunku diametralnym za pomocą korby, rezultat nawet bywa pozornie lepszy, lufy w krótkim czasie nabierają połysku zwierciadlanego, mimo tego jednak takie gładzenie luf, jak to wykażemy, nie odpowiada celowi.

Pierwszym zatem warunkiem dobrych luf cylindrowych jest doborowy materyał t. j. metal elastyczny, poddający się z łatwością w skutek prężenia gazów, wytwarzających się z zapalonego prochu. Pod tym względem przeważają angielskie wyroby nad innymi. Prócz wybornego materyału, jakiego kraj ten dla wyrobu broni palnej dostarcza, poddają angielscy fabrykanci lufy lepszego wyrobu kuciu na zimno w celu spojenia z sobą atomów metalu i podniesienia ich zwięzłości i elastyczności. Kardynalne te przymioty usiłują zachować przy następnem spajaniu z sobą luf, nie używając do tego celu zwykłego w innych fabrykach lutowania na mosiądzu, wymagającego znacznego rozżarzania luf w ogniu, i spajają lufy podwójne cyną lub też równorzędną jakąś mięszaniną, która topiąc się spaja je przy znacznie niższej temperaturze. Czynność ta odbywa się nawet bez wkładania luf do pieca z żarem hutniczym, używane do tego calu bywają lampy gazowe, przezco lufy zachowują znaczną część tej elastyczności, której przez kucie na zimno nabrały. Należy tu dodać, że takie spajanie luf jakoteż wyborny gatunek cyny są wyłączną właściwością fabryk angielskich, nasza zaś zwyczajna cyna blacharska nie nadaje się wcale do tego użytku, czego najwymowniejszym dowodem są owe liche fabrykaty niemieckie, u których na domiar złego lufy spajane po obu końcach mosiądzem, a w środku cyną tworzą jakieś dziwne *mixtum compositum.* Często w takich fabrykatach odstaje linia w skutek strzałów od luf, a wszelkie poprawki są już potem istnie wyrzuconym groszem. W tem miejscu mówić nam też wypada o innych właściwościach angielskich wyrobów, jak n. p. o braku antabek służących do umocowania paska. Mieli tu Anglicy na względzie dawną łatwość oderwania bączka od stempla, lutowanego cyną i częste ztąd wynikające naprawki, nie chcieli przeto umieszczeniem antabek przy lufach narażać je na podobne naprawki, połączone z rozgrzewaniem luf, zawsze dla nich szkodliwem, choćby najumiejętniej dokonywanem. Słuszność tego pozornego kaprysu Anglików ocenia każdy, kto się z bliska przypatrzył, ile to doskonałych luf perkusyjnych w skutek utrącenia bączka stemplowego, w skutek niezręcznego przytwierdzenia w szrubsztaku poszła w niwec, lub też dopiero w skutek użycia *dornia* *) odzyskiwało wątpliwą w każdym razie już wartość pierwotną. Ztąd jasnem nam będzie, dla czego to często pojedynki o wiele lepiej biły, jak dubeltówki, które przez spajanie traciły pierwotną swą, tyte pożądaną elastyczność.

(Ciąg dalszy nast.)

KORESPONDENCYE.

Dombrówka Starzeńska, Styczeń.

W grudniowym numerze „Łowca“ wyczytałem korespondencyę podpisaną przez „Gawina“, w której korespondent ów, a brat w zakonie św. Huberta pisze o wabieniu „na zawycie“ wilków, wspomina o śp. nieodżałowanym Aleksandrze hr. Dzieduszyckim, z którym wprawdzie nie polowałem, ale nieraz rozmawiałem o wabieniu wilków, udzielając sobie wzajemnie spostrzeżeń w tym względzie. W latach od 1854 do 186-kilku mieszkałem stale w Sanockiem, w Dombrówce Starzeńskiej, byłem młodym, zapalonym myśliwym, utrzymywałem wielką psiarnię i myśliwych, i miewałem w moich dosyć rozległych lasach stałe i wywodne wilki. Pomiędzy towarzyszami myśliwymi był jeden stary, znacznie swem urodzeniem w ubiegłe stólecie sięgający — kowal. Umiał on wilki wabić z wypróbowanie dobrym skutkiem, nikomu jednak swego sekretu udzielić nie chciał, ledwie po długich naleganiach i sowitym podarunku dozwolił mi być świadkiem swego wabienia pewnej jesieni, gdy miało być urządzone polowanie na wilki. Nie tając owego sekretu, jak ów kowal, chętnie nim się podzielę z panem Gawinem i innymi myśliwymi. Czy i jak wilk lub wilczyca wyją na wiosnę, a raczej na Gromnicę, w czasie cieczki, nie wiem, nic więc o tem powiedzieć nie mogę. Z koń-

*) *Dorń* pieniek żelazny lub rogowy, zastosowany szczelnie do kalibru lufy, wbijany przez całą długość luf w celu wyprostowania zagięć lub wypukłości.

cem lata, a mianowicie w czasie, w którym już ostatnie owsy skoszono, poczynają się młode wilki w miocie rozłazić, na bliską jednak odległość od gniazda, stare zaś wychodzą po żer, który, jak wiadomo, albo z pobliża przynoszą w sztukach, lub w dali obżarłszy się nim, wydają go dla młodych przez wymioty. We Wrześniu stara wracając do legowiska zwykle nie zastaje młodych w niem, bo próbując sił swoich rozłażą się, wtedy wyciem zwołuje je, a one jej odpowiadają. Zdarza się czasem odwrotnie, że młode wilczęta zbłąkawszy się, nie mogąc trafić do gniazda wyją, natenczas stara im odpowiada. Jak już wyżej nadmieniłem, dzieje się to zwykle tylko z końcem Sierpnia lub we Wrześniu, bo prędzej wilczęta się nie rozłażą, a później jako już z pod opieki wyzwolone nie trzymają się matki, powód zatem wycia ustaje. Zawycia takie dają się słyszeć wieczorem po zachodzie słońca, gdy już zmrok zapada, lub częściej przed samym wschodem słońca. Myśliwy mający wabić wilki, winien wieczorem i przed świtem być już w pobliżu kniei, w której przypuszcza, że się wilki wywiodły, wejść jak najciszej kilkadziesiąt kroków w knieję i zawyć. Gdy na zawycie głosem starego młode się nie odezwą, wyje głosem młodego, wtedy odezwie się stary, co wszakże rzadziej się wydarza. Jeżeli wieczorem wabienie bezskuteczne, należy powtórzyć je rano, co bywa zwykle pewniejsze. Po odezwaniu się wilków opuszcza wabiący jak najspieszniej miejsce nie z obawy, lecz jedynie z tego powodu, aby wilki dążące ku głosowi, podstępu niepoznały, i zwietrzywszy człowieka kniei nie opuściły. Odpowiadające wilki wskazują miejsce swego pobytu i gniazda, wtedy można być pewnym, że w temże miejscu nazajutrz pozostaną, tam też urządza się na nich obławę, jako jedynie praktyczną w jesieni. Kilka razy wabione wilki przez kowala Antoniego Bartmańskiego, następnie przezemnie wybornie odpowiadały, a odbyte na drugi dzień pogonki trzy razy się powiodły. Raz zabiliśmy trzy, innym razem sześć wilków młodych i starych, które w skutek wabienia dokładnie nam miejsce swego pobytu śród niezmiernych przestrzeni leśnych naznaczyły. Takiemu wabieniu zawdzięcza okolica zupełne wytępienie wilków wywodnych, a w skutek tego odzyskały swobodę barany, cielęta i źrebięta, których mi w r. 1855 sześcioro wilki na pastwisku rozdarły, z tego też powodu mam bogaty stan sarn, których dawniej ledwie kilkanaście sztuk bywało. Gdybyż to złych sąsiadów, którzy w ciągu całego roku do kóz strzelają, również jak wilki wytępić można! O chłopach kłusownikach nie mówię, bo z tymi łatwiejsza sprawa. Sposoby wabienia wyciem nader trudne do określenia, wątpię nawet, iżby je mistrz wycia harmonijnego, autor „Nibelungów“ potrafił ująć w nuty, będę jednak się starał technicznie je naznaczyć. Wabiący klęka, przykłada dłonie do ust tak, jak się to czyni przywołując kogoś z dali, przegina się do samej ziemi, i poczyna wyć zwolna przy samej ziemi przytłumionym głosem. Wyjąc dalej i głośniej z pełnej piersi, podnosi się, a zniżając ton pochyla się znowu ku ziemi, gdzie głos ginąć powinien. Naturalnie musi głos wilczy naśladować najdokładniej, najmniejszy bowiem fałszywy lub chrypliwy ton, albo przerwanie się oddechu, psuje cały skutek. Nie każdy wabiący posiada odpowiednią budowę piersi, czysty organ głosu i dosyć silny oddech, aby temu zadaniu podołał, a powtarzam najmniejszy fałsz naraża artystę na kompletne fiasko wobec tak kompetętnych słuchaczy. Ja sam dziś już nie odważyłbym się z pomyślnym skutkiem próbować tego kunsztu, więc teoryę jego wykładam na pożytek młodszych myśliwych. Stara wilczyca lub wilk, nie jestem jednak pewny, czy on się w jesieni odzywa, wyje długo, przeciągle, grubo, żałośnie, jednym ciągiem, nieprzerwanie, młode wilczę króciej, cieniej, przyrywanie z przymieszką szczekania. Wabienia takiego, aby zaraz do zwabionego strzelać, nie próbowałem, za praktyczne je nieuważam, wątpię bowiem, aby zwabiony wilk na czyste wyszedł. a ponieważ wabienie musi się odbywać o zmroku czy to wieczorem czy rano, jeśli ma być skuteczne, a wtedy w kniei pod drzewami jest prawie całkiem ciemno, więc prawdopodobieństwa trafnego strzału w takich warunkach nie przypuszczam. Czyli wilki około Gromnicy to jest w czasie cieczki w dzień wyją, lub na zawycie odpowiadają, niewiem, ale pozwalam sobie wątpić, iżby kiedykolwiek wabiącemu w dzień się odezwały. Dodam jeszcze, że dla myśliwego, muzyka odpowiadających na zawycie wilków w nocnej ciszy i samotności w borze, ma coś dzikiego, żałośnego, a zarazem uroczo pięknego, jakoteż, że po rosie głos ten niezmiernie daleko się rozchodzi. Co do praktycznego zastosowania powyższej teoryi. jestem jako „stary popraw“ na usługi kolegi Gawina, jeśliby mnie w lecie na wsi w Iławczu odwidzić raczył. *A. S.*

Z nad Styru.

Przez czas jakiś zajęty w okolicy wołyńskiego Polesia, w nadstyrskiej okolicy, pragnę się podzielić z naszą myśliwską publicznością niektóremi wiadomościami co do stanu łowiectwa i zwierzyny w tych stronach. Tak jedno jak i drugie smutnie i bardzo smutnie się przedstawia. Sławne niegdyś puszcze zniknęły bez śladu. Silne bory z nad Styru uniesione gdzieś daleko, a dziś tylko głuche i straszne pozostały resztki. Tam gdzie dawniej rozsiadały się niebotyczne sosny, gdzie urocze dziewice lasu olchy pod niebiosa podnosiły swe strzały, gdzie łoś, ryś, rosomak żyły niegdyś, dziś rozłożył się przebrzydły osadnik wędrowny tnąc, niszcząc, rabując nasze bogactwa natury. Właściciele ziemscy, zupełnie zniszczeni ostatnimi wypadkami w kraju, a że tak powiem dorznięci przez panów komisarzy włościańskich i dobrze przez „Gołos“ nazwanych mirojedów, ratowali się resztkami swych lasów. I nie dziw, nie bierzmy im tego za złe, tonący brzytwy się chwyta. Lasy zniszczały, popłynęły na falach Styru i kanału Ogińskiego, Bugiem a Wisłą do Gdańska, ale biedna nasza uciśniona szlachta przecież się jeszcze trzyma. Nie ma lasu, nie ma zwierza! Resztki niedobitków miejscowej zwierzyny wybili panowie urzędnicy, szczególniej wyżej wymienieni, a biada właścicielowi, któryby śmiał jakikolwiek im opór stawić. Tylko ktoś dobrze podkuty, mający wyżej stosunki, śmie się im opierać i stawia tablicę: „ochota wospraszczajetsia“. Jeżli zaś nie jest pewnym siebie a ośmieli się zakazać polowania, biada mu! Tysiące szykan go czeka, wszystkie sprawy przegrane, chłopstwo wzburzone przeciw niemu, a wszędzie kolosalnie długa i szeroka ręka świata urzędniczego widzialna. Ale wróćmy do naszego przedmiotu. Lasów nie ma, to święta prawda, bo zwierz tutejszy, zwierz gruby, wypłoszony łomotem i trzaskiem padających kolosów leśnych, wyniósł się gdzieś daleko, w ciche bory i dąbrowy. Nawet w rządowych lasach, gdzie dotąd cicho i spokojnie, już nie ma łosia. Gdzieś jakiś rzadki wędrowiec się znajdzie, lecz strwożony ciągłym gonem psów wynosi się na północ. W lasach jednak ks. Radziwiłła łosiów jest jeszcze dosyć. Możny ten pan potrafił się dotąd obronić od napaści gwiazdkowych kłusowników. W Stepańszczyźnie, majątku ogromnym, kupionym podobno przez p. Blocha, jest jak mówią także dosyć jeszcze. Są to jednak resztki, niedobitki. Sarna jako zwierz płochy bardzo, gdy zupełnie w stanie natury, wyniosła się także, szukając ciszy, spokoju, polują bowiem na nią przez cały rok, nie zważając na czas rui, kocenia

się i tym podobne wypadki. Tutejszych panów myśliwych zupełnie to nie obchodzi. O szanowaniu zaś kozy nie ma co mówić, bo „jak ja nie zabiję, to zabije drugi“, i rzecz skończona. Z jaką boleścią widziałem kotne sarny gonione i bite, każdy to łatwo pojmie. Zając, biedny szarak, niepokojony ciągle przez gończe i chłopskie psy, które rok cały się włóczą, a szczególniej latem, zaginął prawie zupełnie. Chodząc przez trzy miesiące dzień w dzień po lasach, spotkałem dwa, mówię dwa zające! Lisy rzadko się pojawiają i to w większej części wędrowne. Pokazywano mi tutaj skórkę lisa czarnego z żółtym brzuchem, ród swój wiódł z tej przyczyny, iż jakiś właściciel rossyjanin sprowadził podobno czarne lisy z Sybiru, i wychowawszy puścił w las, by się rozmnożyły, ztąd powstały bastardy, które dotąd się utrzymują. Koniecznie chciałem dostać lisa takiego do Muzeum imienia Dzieduszyckich, lecz na nieszczęście nie udało się. Przechodząc do ptactwa, zauważać muszę, iż stan dzikiej ptasiej zwierzyny dobry. O kuropatwach jednak tylko się słyszy, a raz jeden widziałem stado wędrowne, sztuk ze 60, spłoszone, wznosiły się wysoko i zginęły w dali. Z ptactwa leśnego widzimy tu głuszca, którego dość często spotkać można, mimo bowiem nieustannego wybierania jaj przez dzieci wiejskie, błota ogromne, bagna i leśne trzęsawy często niedostępne, chronią go od chciwości rozpuszczonego chłopstwa. Jarząbek chowa się tutaj dobrze i gęsto się znajduje, choć go biją, gdzie i jak najwięcej można. Sidełek dzięki św. Hubertowi dotąd nie znają. Jarząbek najwięcej cierpi na gnieździe, samica bowiem tak jest zakochana w jajach swoich, iż się da ręką złapać, gdy wysiaduje. Cietrzewi można powiedzieć dużo, gnieżdżą się po błotach, jakoś dosyć obronną ręką wychodzą i nie zdają się być skazane na ogólną zagładę, tak jak zwierz tutejszy. Polują tu na młode, dalej w zimie na „maniaka“. Zajmujące to polowanie a nie każdemu znane. Cietrzew wypchany choćby najgorzej stawia się na drzewie, pod którem czatuje myśliwy, nagonką goniąc płoszy stada, które zobaczywszy wypchanego cietrzewia natychmiast na drzewo siadają. Do leśnege ptactwa należy jeszcze słonka, gnieździ się tu dość gęsto, na wiosnę ładne daje ciągi, w jesieni rzadka, a o polowaniu „na buszowanego“ nie wiedzą tu wcale, ani też z psem i z nagonką. W ogóle psy legawe prawie nieznane, a te które są, zupełnie nie ułożone. Toż błotne ptactwo rozsiada się tu na dobre, a kaczki chmurami w jesieni przelatują. Rok ten był zły na nie, jednak było ich bardzo wiele. Głównie widzimy tu krzyżówkę, dalej mniejszą burkę i cyrankę, o cyraneczkach zaś i podgorzałkach mało słychać. Jednym z przyjemniejszych dla amatora polowań jest tak zwany „hryćyk“. Jestto rodzaj funtowego kulona, który się w mnogiej znajduje ilości. Wyszedłszy przed skoszeniem traw na łąki nad Styrem, widzi się ich zaraz ulatujących nad myśliwym, a krzykiem przeraźliwym z daleka się zwiastują. Strzał łatwy, mięso jednak nie smaczne. Gdy łąki już skoszone, wynoszą się skrycie zupełnie, zapewne na południe. Bekasy są tutaj także, o naszych polowaniach jednak na dubelty ani marzyć można. Gdzieniegdzie spotyka się familię rozrodzoną, ciągnącą po kilka sztuk tylko. Kszyków bardzo mało, także familiami. Chruścieli wiele, kurki małe, kokoszki większe, łyski przelotne, oto i wszystko. Kurki pstre rzadko się spotykają, kuropatw nie ma, przepiórek mało. Słowem polowanie tutaj ograniczyć się musi na ptakach, a głównie na kaczce i leśnem ptactwie. Wieleż razy włóczyłem się dnie całe w Październiku po łąkach tutejszych, nie spotkawszy nic prócz przelotnych czajek i srok, których tu ilość ogromna, stada całe, gdzieindziej wcale widzieć się nie dające.

Zapomniałem nadmienić o zwierzynie drapieżnej. Wilków wiele, szkody robią prawie codziennie, dalej z małych czworonogów wydra bardzo liczna, również kuna leśna i domowa, tchórz i łaska. Widziałem w tym roku u chłopa skórę bobra, biedak zawędrował z dalekich stron pewnie go chłopi, idąc w ślad za nim, zamordowali. Nie wolno wprawdzie strzelać bobra, lecz tu zakaz tylko na papierze, a dla chłopa zupełnie nie istnieje, chłopu bowiem wszystko wolno. Orzeł mały, gęsiarz często się widzieć daje, puhacz wielki i mały, sowy różne a nawet biała, północna, jastrzębie wszelkie, rybi orzeł czubaty, kanie i myszołowy tutaj szulakami zwane, są reprezentantami drapieżnego ptactwa.

O towarzystwach myśliwskich, szanowaniu zwierza ani słychać. Jest wprawdzie klub myśliwski w Warszawie, ale ten zdaje się ma inne cele, polowanie go nie wiele obchodzi, zresztą wkładka 100 rubli sr. rocznie zamyka wrota dla niezamożnej, a nawet bogatszej części myśliwych. „Nous ne voulons pas de la canaille“, to zdaje się dewizą ich lecz nie polowanie i ochrona jego, a tą *canaille* jest i musi być każdy nie dosyć majętny, by 100 rubli wyrzucić na wiatr. O wieleż wyżej stoi wasze Towarzystwo łowieckie, i jak wpływ jego uczuć się daje już nawet tutaj! Wpływ klubu warszawskiego najwięcej okazywać się zdaje w dobrych winach i obiadach. Trochę mniej egoizmu, a więcej miłości dla ogółu, a będzie dobrze, bo cóż za powód nazywać się klubem myśliwskim, gdy się o myśliwstwie nie radzi?

J. B.

KRONIKA.

Potok, 6 Stycznia.

Pożytek z sowy we Włoszech. Sowa, ów ptak złej wróżby, wstrętny i niemiły, odgrywa dziś jeszcze ważną rolę we Włoszech w chwytaniu ptactwa. Włoscy szermierze tego rodzaju myśliwstwa, które ja nie bardzo rycerskiem nazwałabym, t. j. polowania z siecią, umyślnie hodują i trzymają puszczyka dla łowieckich swych celów. Dobrze przed świtem jeszcze rozkładają sieci wśród zarośli, opodal sowa na łańcuchu w gęstwinie krzewów, niedostrzeżona z poza nich prawie, wabi swym cklìwym głosem przebudzone ptactwo, a rezultat tego podstępu dla torby myśliwskiej świetny. — Sowa i kokietka w włoskiej mowie jedno mają nazwanie: *civetta;* wabić, kokietować: *civettare.* Widziałem bardzo interesującą tej wspólności ich roli illustracyę w pałacu hrabiego Contarini-Berchtold w Wenecyi. Były to dwa duże obrazy dawnej szkoły, tworzące *pendant:* na jednym śliczny krajobraz z włoskiego Tyrolu, wschód słońca zaledwie zwiastujący się na niebie różowymi obłoczkami; na pierwszym planie obrazu polanka, ustrojona barwistem kwieciem łąk alpejskich, zamknięta półkolem lasu, a w jego głębi w gąszczu wysokich krzewów sowa ukryta tak, jak powyżej opisałam; gdzieniegdzie z poza drzew wychyla się ciekawa twarz myśliwego; biedne ptaszęta snać już zwabione przez tę kokietkę rodu ptasiego, w nasłuchującej pozie to tu, to tam na polance tuż, tuż, pod lasem, w którym o jakich kilkanaście może tylko kroków nieubłagana sieć wnet je usidli. — Na drugim obrazie salon wykwintnie umeblowany, grono osób w nim zebrane, najwybitniejszą postacią kobieta młoda, ładna, strojna z zalotnym uśmiechem, z spojrzeniem tak rzuconem, iż zda się ono dla wszystkich, a nie jest właściwie dla nikogo. W koło niej, za nią rój mężczyzn, jeden śmieszniejszy od

drugiego, o najrozmaitszych ptasich głowach, a jak łatwo z min ich zrozumieć, każdy już na lepie. — Od pożytku z sowy we Włoszech zaczęłam, a na czem innem skończyłam, ale zawsze *à propos* sowy!

Janina z hr. Załuskich Łozińska.

Myszkowce, 4 Stycznia 1882.

W korespondencyi pana Webera z d. 20 Grudnia 1881 r. wyczytałem kilka uwag o systemie Teschnera, które podług mnie są nieuzasadnione, jako zwolennik tego systemu dzielę się z czytelnikami „Łowca“ doświadczeniami, jakie osobiście zrobiłem, a podczas gdy p. W. mówi więcej o przyczynach, ja mówić będę o skutkach. Wyrób strzelb Teschnera z Frankfurtu był pierwotnie dosyć niezgrabny, ta niezgrabność w połączeniu z brakiem kurków, do których od młodości przywykłem, były powodem, że strzelb Teschnera nielubiłem. Otóż pewnej jesieni wybrałem się ze strzelbą systemu Lankastra, wyrobu Lebedy w Pradze, do jednego z moich przyjaciół na polowanie z legawcem. Strzelba moja była na obstalunek robiona, bez grawirunków przesadnych a była drogą, bo jak mówił Lebeda dobrą robotę, dobry materyał stosownie wynagrodzić wypada. Pierwszego dnia polowaliśmy na kuropatwy, a że była już jesień późna, stada w ścierniach, nawet pojedyńcze rozbite, zrywały się daleko — a mój przyjaciel miał strzelbę systemu Teschnera — strzelaliśmy wiele razy idąc razem na równą odległość jednym numerem śrótu. Z Teschnerówki padały kuropatwy na miejscu, a nawet dublety się udawały, lankastrówka niewiele zabiła, było kilka zbarczonych, a były i takie, które uszły zdrowe. Tu widziałem przewagę systemu Teschnera. Drugiego dnia polowaliśmy na stawie, przy kaczkach jeszcze widoczniej się okazała lepszość systemu Teschnera, trzeciego na kszyki i znów Teschnerówka górą, kszyki zrywały się daleko, dzień był zimny, strzały z Teschnerówki dościgały ich, moje zaś z lankastrówki nie zawsze zabijały. Dodać muszę, że mój towarzysz był mniej rutynowanym odemnie strzelcem, spróbowałem więc wziąć strzelbę Teschnera do rąk, i strzelałem znakomicie, to mnie spowodowało do kupienia Teschnerówki, od tego czasu używam tego systemu, a choć miewam jednocześnie choć jedną lankastrówkę od pierwszorzędnych rusznikarzy, żadna, mówię żadna, niewyrównała co do dobroci Teschnerówkom. Mieszkam w okolicy lesistej nad Sanem, w zimie na błonia nad San zchodzą za myszami lisy, które się w nadbrzeżnych skałach wywodzą, lubię polować na nie i strzelam albo z sanek, albo każę, zrobiwszy zastęp od skały, lisa na siebie myśliwemu naganiać. do takiego polowania potrzeba strzelby dobrej, lis niezabity na miejscu przepada w jamie, trzeba więc broni, która grubym śrótem gęsto na daleką odległość bije. Strzelałem z lankastrówek Springera, Werlika, Lebedy, lecz strzały dalekie niebyły pewne, z Teschnerówek zaś nawet takie, o których strzelając wątpiłem, udawały się często, i pewniej zabiję lisa na miejscu z Teschnerówki na 85 kroków, jak z lankastrówki na 65. Mam strzelby systemu Teschnera roboty jego następcy Colata, wszystkie są dobre, nie psują się, a choć pomawiają je, że są niebezpieczne, to ja pomimo, że tysiące strzałów zrobiłem, niemiałem wypadku samowolnego wypalenia strzelby, a doznałem tylko jeden szczególny raz zawodu niewypalenia, a to z powodu, że sztyft wypadł z naboju, co było mojej nieuwagi, a nie systemu winą. Robiłem w domu i we Lwowie próby w gronie myśliwych, a niezdarzyło mi się spotkać lankastrówkę, któraby na dalszą metę grubym śrótem dorównała Colatowce, ale zdarzyło mi się pare razy, że na 60 kroków Colatówka drugie tyle śrótów, co lankastrówka, w arkusz papieru trafiała. Lankastrówki, Lefeauchety przestrzelane, zaczynają miękko bić, Colatówka przestrzelana, a nawet jak to nazywają wychlastana, strzela dobrze, a nawet gęściej, jak nowa. System ten nie jest modnym, jak p. W. utrzymuje, ale dobrocią zdobywa sobie zwolenników, dobroć tego systemu uznaiy potęgi na polu myśliwskiem takie, jak Kazimierz hr. Wodzicki, Leopold hr. Starzeński, oni używają wyłącznie broni Colata, a że są kompetentni do ocenienia dobroci broni i systemu, o tem większość czytelników „Łowca“ jest przekonaną. Kto potrzebuje strzelby na bliską odległość, a przytem nie jest celnym strzelcem, niechaj nieużywa Colatówki, bo chybia albo rozbija zwierza, lecz kto potrzebuje strzelić daleko do zwierza z twardem życiem, niechaj użyje Colatówki, a zapewnić go mogę, że niedozna zawodu.

Teofil Żurowski.

Gumniska, Grudzień 1881.

Nad znaczeniem dobrze zorganizowanego myśliwstwa nie ma potrzeby dyskutować, wiedzą o tem ludzie myślący, a nasze Władze także z czasem gorąco wezmą je w opiekę; nadmienić jednak należy, że zabawa owa dla możnych staje się źródłem dochodu dla ubogich, że ilość zwierzyny daje miarę kultury w kraju, podnosi go ekonomicznie. Ażeby starania o pomnożenie zwierzyny nie były daremne, trzeba jej obok paszy zapewnić schronienie. Pomijam tak zwane remizy po polach z strzyżonych świerków, głogów i innych krzewów, które każdy przezorny myśliwy zakłada, a zwracam uwagę kolegów myśliwych na plantacyę bulwy i łubinu w lasach sosnowych na chudych ziemiach. Białe kawałki ziemi, gdzie się drogi krzyżują, nad rowami, urwiska wodne, a zresztą i kawałki śród bezdrzewnych łanów, mianowicie na Podolu, obsadzone bulwami dają zwierzynie ochronę w lecie i w zimie, znakomitą a zdrową paszę tak w łodygach i liściu, jakoteż w bulwach samych. Gospodarz nic na tem nie traci, bo objedzone łodygi dają paliwo, które zwłaszcza w bezleśnych okolicach nie jest bez wartości, a bulwy pozostawione przez zwierzynę dają wyborną paszę dla krów i trzody na wiosnę. kiedy buraki i braha już się kończą. Sadzi się bulwy tak jak ziemniaki, a raz zasadzone wytrzymują na ziemi niezbyt mokrej kilka i kilkanaście lat, pomimo że z każdą wiosną do szczętu będą wybrane. — W sosnowych lasach na chudej glebie, gdzie prócz mchu i borówek żadna trawka nie rośnie, nie może się zwierzyna utrzymać mimo ochrony i starań, tam posiew niebieskiego lub żółtego łubinu znakomite oddaje usługi. Zające i sarny mają zdrową i ulubioną paszę przez całą jesień i zimę, kulturom te nic nie szkodzi, owszem w łubin zasiane ziarno sosnowe znakomicie się udaje. Obliczywszy koszta uprawy i zasiewu łubinu, znacznie wypadnie taniej, jak rozwożenie siana i owsa w snopie. Bulwy i łubin w każdej chwili dostać można w Gumniskach p. Tarnów.

Dobre obuwie, to ważny artykuł dla myśliwego, konserwowanie obuwia; to ważna sprawa. Stary wyga myśliwiec, jakich dziś u nas już nie ma, nauczył mnie w młodych moich latach, jak szybko osuszyć obuwie bez nadwerężenia skóry zwłaszcza, gdy kto zmuszony nocować w kniei, a wybrał się tylko w jednej parze obuwia. Przepis ten prosty podaję do wiadomości, bo może stać się użytecznym. Przemokłe obuwie czyto od śniegu, czy wody, napełnia się suchym owsem powyżej stopy, i otrząśnięty dobrze lub napchany przyciska kamieniem, aby ziarno napęczniałe w skutek wciągania w siebie wilgoci nie podnosiło się do góry. Przez noc wyciągnie owies wszelką wilgoć z buta, a wypełniając wszelką próżnię nie pozwoli skórze się skurczyć. Nazajutrz należy obuwie wysmarować, a staje się ono tak suchem i miękkiem, jakby wcale poprzednio zmoczonem nie było. Dla przekonania można zważyć owies przed wsypaniem i po wysypaniu.

J. K.

Z nad Sanu.

Nie ma okolicy, w którejby nie było kłusowników, rekrutujących się z wieśniaków. Wina cięży na tych, którzy u takich przemysłowców kupują zwierzynę wiedząc, że ją nabyli sposobem nieprawnym i w porze niewłaściwej. W miesiącu Czerwcu z. r. spotkałem w miasteczku Lisku wieśniaka, niosącego na sprzedarz kozę. Chcąc go oddać w ręce sprawiedliwości, użyłem podstępu, niby targuję, a tymczasem rozglądam się, czy nie ujrzę gdzie żandarma. Zmiarkował to kłusownik, i zniknął mi z oczów. Dałem znać żandarmom, szukali gorliwie, ale bezskutecznie, zapewne znalazł gościnę u żydów, zwykle dających przytułek przestępcom wszelkiego rodzaju. Koza miała przednią racicę zgruchotaną w samołówce, zwanej tu s t e m p i c ą. We wsi, w której mieszkam, wykryła straż leśna kilka takich stempic, w różnych miejscach na przesmykach, mam ich dziesięć, rozkładanych nie tylko przez miejscowych, ale też sąsiednich kłusowników, a nawet na gruntach obcych zabranych. Sądzę, iż kłusownik łowiący zwierzynę na samołówki wszelkiego rodzaju winien być ostrzej karany, bo on tajemnie, zdradliwie wykonuje swój kunszt złodziejski, i naraża zwierzynę na straszliwe przed zgonem męki. W miesiącu Lipcu jechałem konno polanką leżącą w leszczynowych krzakach, przy których San płynie. Zaledwie wjechałem ścieżynką w owe krzaki, spostrzegłem młodego koziołka, klęczał na przednich nogach, z których jedna ujęta była w stempicy. Biedne zwierzę żyło jeszcze, miotając się wyciągnęło całe udo ze stawów, a dolna piszczel zupełnie była zgruchotana. Widząc, że uratowanym być nie może, dobiłem go pchnięciem noża w komorę. Czyż nie należy z całą usilnością tropić takich kłusowników i karać ich surowo?

L.

Jabłonów, 4 Stycznia.

Na poparcie uwag hr. Kaź. Wodzickiego co do ochrony zajęczyc i wpływu powietrza i pory roku na stosunek liczby samców i samic zabitych na polowaniach, podaję szczegół następujący. Od kilku dni mieliśmy tu powietrze pogodne. przymrozki za dnia słabe, bez wiatru. W lesie śnieg twardy, przymarznięty, okiść gęsto z drzew spadająca niepokoiła zwierzynę, przytem w polu oziminy prawie zupełnie odkryte.

Pomimo tak niekorzystnych warunków, gdy się goście zjechali, zapolowaliśmy 2 Stycznia b. r. z nagonką w lesie liściastym, w pobliżu sadów wiejskich i pól obsianych. Otóż na czternaście zajęcy, zabitych w przeciągu półtory godziny, był jeden tylko samiec, zresztą same zajęczyce. Mioty tak były obstawione, że mało co mogło wyjść niestrzelanego, widocznie więc samce były w polu Po tem odkryciu zaniechaliśmy dalszego polowania na zające, odkładając je na korzystniejszą porę. Liczby tu podane wystarczą na dowód, jak często niestosownie wybrany dzień polowania niweczy rozmnażanie się zajęcy. Wartoby z innych polowań podobne zebrać szczegóły. *R. C.*

W Pacykowie (powiecie Stanisławowskim) polowano w dzień wigilii na zające w 9 strzelb, i zabito w trzech godzinach 22 sztuk. Stan coraz lepszy. W dużym lesie polowano na sarny, padło kozłów cztery. Stan tego zwierza również się poprawia i byłby o wiele lepszym, gdyby nie sąsiedztwo rządowych lasów, w których nieustannie z psami polują, a jak wiadomo pies niezna granicy. a kłusownik jej znać niechce. — W ogóle kłusowników mnóstwo, mimo tego jednak w skutek gorliwego dozoru zwierzostan się podnosi, i tam, gdzie dawniej przez cały dzień polując ledwie jedną nędzną kozę zobaczyć było można, teraz widziano już stadka po 14 sztuk.

W pierwszych dniach Stycznia odbyło się polowanie w Krysowicach u hr. Stanisława Stadnickiego. Ubito 5 dzików, 24 rogaczy, 24 lisów i 214 zajęcy. Nie powtarzając oklepanych frazesów o gościnności i uprzejmości gospodarza, gdyż przy polowaniach urządzanych w naszych polskich domach wspomnienia takie są zupełnie zbyteczne, i powinneby wyjść już z mody. Podnieść musimy przy Krysowickiem polowaniu stronę mniej zwykłą u nas, oto wzorowy ład i organizacya uradować musiały serce każdego zamiłowanego myśliwca. Podwójna pogonka kierowana z umiejętnością i z matematyczną dokładnością dozwalała na krótkim dniu zimowym po kilkanaście miotów na dzień odbywać. *S.*

W Paryżu płacono w jesieni przeciętnie za młodą kuropatwę $3^1/_2$ do 4 fr. 20 cent., za starą 2 fr. 70 c. do 3 fr., za bażanta koguta 6 do $7^1/_2$ fr., za kurę 5 do 6 fr., za bekasy $5^1/_2$ do 6 fr., przepiórki 1 fr., dzikie kaczki 3 do $3^1/_2$ fr., zające 5 do $6^1/_2$ fr., sarny 40 do 60 fr., króliki $2^1/_2$ do 3 fr., gęsi 5 do 6 fr., 5 do $6^1/_2$ fr., kapłony $2^1/_2$ do 3 fr.

Dnia 27 Grudnia z. r. polowano przez jeden dzień w 9 strzelb w Łukawcu u p. J. Tustanowskiego. Polowaniem kierował Dr Kratter z zupełnem zadowoleniem gości, którzy nie rychło zapomną doznane miłe wrażenie tego dnia. Wzięto miotów 7, ściągnięto na rozkład: 7 dzików, 2 kozły, 3 lisy i 3 zające. W każdym prawie miocie były dziki, lecz z powodu małej liczby myśliwych wychodziły skrzydłami. Syn Dra Krattera ubił tego dnia 2 odyńce, jednego z nich ważącego przeszło 4 cetnary śrótem, ponieważ lufa nabita kulą zawiodła. *R.*

Na trzechniowych polowaniach u hr. Augusta Potockiego w Zatorzu padło 816 zajęcy, 32 kuropatw, 9 bażantów dzikich; w Bachowicach 71 zajęcy, 1 lis, 1 rogacz, 1 cietrzew, 2 kuropatw. Razem sztuk 933. Myśliwych było dziewięciu. Sam Artur hr. Potocki zabił 180 sztuk.

Ze smutkiem spoglądamy w przyszłość, nie mówię tu o stosunkach politycznych, lecz tylko o łowieckich. Dzieci nasze z zdziwieniem będą słuchały powiastek o niezmiernych borach naszych, o niedostępnych leśnych moczarach, o groźnych trzęsawiskach, gdzie niezliczone mnóstwo bywało błotnego lęgowego ptactwa. Nie długi przeciąg czasu — a tyle przeistoczeń, wszędzie ustępuje przyroda cywilizacyi. Mamy w tej chwili na myśli niezbyt odległą przeszłość. August II. polował w puszczy Niepołomickiej w r. 1730 przez tydzień cały we Wrześniu. Ubito 2 łosie, 14 jeleni, 88 sarn, 13 wilków, 2 rysie, 32 lisów, 33 dzików i mnóstwo innej drobnej zwierzyny. Dziś tam głucho i pusto, nie roi się świat zwierzęcy, olbrzymie drzewa padły pod toporem chciwej exploatacyi. — Dąb historyczny, pod którym król obozował, runął obecnie. Dowiadujemy się, że szczątki jego będą rozesłane po Muzeach. Staraniem dyrektora lasów p. Sieglera będą z cząstki jego zrobione ramy, otoczające opis powyższych królewskich łowów. Szczęśliwy pomysł, świadczyć on będzie o świetnych, niestety nie powrotnych dla łowiectwa czasów. *W.*

Kolbuszowa, 31 Grudnia 1881 r.

Na polowaniu w lasach hr. Zdzisława Tyszkiewicza w Kolkuszowej ubito w 15 strzelb 105 zajęcy, 6 rogaczów, 3 lisy, na polach zaś w 12 strzelb 1 lisa i 60 zajęcy. Pomyślny ten rezultat jest skutkiem starań i usiłowań właściciela polowania, aby hodowaniem zwierzyny stan jej podnieść i wprowadzić racyonalne łowiectwo. *M. P.*

W Germakówce, majątku księcia Blüchera ubito dnia 23 Grudnia w 20 strzelb 111 zajęcy, 1 lisa i 1 rogacza. Nazajutrz znaleziono jeszcze 26 zajęcy. *M. B.*

Niedawno czytałem w jednym z numerów „Łowca“ zeszłego roku korespondencyą o „Systemach broni odtylcowej“, w której p. K. Remiszewski szczególnie wystąpił przeciw iglicówkom, które już lat kilkanaście używam. Pozwolę sobie kilka uwag nad rzeczoną korespondencyą zamieścić. Naprzód powiedziano, że ostry strzał wywołuje tarcie przybitki, przechodzącej przez lufy przy wystrzale. Dalej mówi sz. autor, że tłuszcz zupełnie nie szkodzi w lufach, owszem podnosi dobroć strzału. Są to sprzeczności, wiadome bowiem, że każda tłustość usuwa tarcie i ułatwia przejście jednego przedmiotu przez drugi. Idzie więc tutaj nie o tarcie, lecz o to, by gazy prochowe jak najwięcej skoncentrowane z lufy wychodziły, a wtenczas elastycznością swoją o wiele więcej na śrót lub w ogóle przedmiot wyrzucony działać mogą. Trzymając się zdania sz. autora wrócilibyśmy do dawnego mniemania, że im lufa brudniejsza i nierówniejsza, tem lepiej strzela, bo przybitka na wielki opór w ścianach lufy natrafia. Następnie pozwolę sobie zwrócić uwagę sz. autora, iż zdanie jego co do explozyi prochu w iglicówce i lankastrówce jest cokolwiek błędne. Na jakiej to zasadzie autor opiera mniemanie swoje, że kapiszon w lankastrowych patronach cały nabój przenika i odrazu zapala? Jeżeli kapiszon w Lefaucheux nabojach wybucha do góry i proch zapala, a wybuch ten dalej dopiero udzielić się może, to lankaster również tylko pierwszą warstwę prochu przenika, bo siłę wybuchu gazów kapiszona powstrzymuje silnie ubity proch w naboju. Twierdzenie to moje każdy pirotechnik lub bawiący się sztucznymi ogniami poprze. Że zaś kapiszon w odtylcówce nie działa na warstwy prochu, lecz na cały ładunek, tenże kapiszon otaczający, przekonuje nas to, iż eksplodując udziela on ognia nie tylko z tyłu lub z dołu, lecz wybucha na wszystkie strony i równocześnie ognia udziela z tyłu, z przodu i na wszystkie boki t. j. w koło, o czem bardzo łatwo przekonać się można. Proszę obedrzeć papier z patronu Dreysego, i przebić w ciemnym pokoju mocnym uderzeniem ostrego druta nabój. Przekona się sz. autor, że ogień na wszystkie strony równocześnie się pokazuje, co zresztą widać zawsze w wystrzelonym patronie, główka bowiem, w której mieści się kapiszon, jest zwykle zupełnie rozwiniętą. Używam, jak wspomniałem, iglicówek t. j. jednej strzelby Teschnera (teraz Colatha), drugiej Dreysego i nigdy żadnego wypadku niemiałem, bo czyż może być większe upewnienie, jak w Dreysego systemie, że strzelba nie wypali? Zdaje się żaden system nie przedstawia tyle bezpieczeństwa co do niespodziewanego strzału, jak właśnie Dreyse, bo czyż może wystrzelić, gdy sprężyny rozpuszczone. Czy się zaczepi, czy zawadzi, nigdy niebezpieczeństwa nie ma, które to niebezpieczeństwo przy wszystkich strzelbach kurkowych jest wielkie. Co do rzutu śrótem, tylko jedne chokebory teraźniejsze wyrównują Dreysemu co do siły rzutu, zresztą i o tych wątpię. *J. B.*

A. K. Mimo szczerej chęci Redakcyi nie mógł być wiersz umieszczony w tym numerze.

Redaktor: **Józef Łoziński.** Adres: **Władysław Zontak** ul. Teatralna Nr. 18.

Z I. Związkowej drukarni we Lwowie, Hotel Zorża.